BIBLIOTEKA
Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej
w GDAŃSKU
K. Lit. Pol.

Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 1.20 zł

W NUMERZE:

Zobowiązania gromady Biegonic. J. WALERSKA — Z dziejów rodziny. Cz. MICHNIAK — Klarnet S. KRAKOWIAK — W walce o radiowęzeł. S. CHĘCIŃSKI — Zespoły artystyczne to wielka rzecz. W. BAJEROWICZ — Przed nami „prowincja". W. JAŻDŻYŃSKI — W stronę rodzinnych gromad. L. MOCZULSKI — Niemcy zjednoczone, ale jak? M. J. FLOWER — Na czarnym lądzie i gdzie indziej. R. HŁADKO — Filmy dokumentalne. Cz. SCHABOWSKI — Przyszedł nowy człowiek W. DRYGAS — Spotkanie z Partią. W. BORTNOWSKI — Julian Maciej Goslar.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok XI — Warszawa, dnia 21 lutego 1954 r. — Nr 8 (446)

PIERWSZE GŁOSY

w konkursie czytelniczym ogłoszonym przez Polskie Radio i „Wieś"

1 lutego br. Polskie Radio i tygodnik „Wieś" ogłosiły konkurs dla czytelników wiejskich pod hasłem: „Piszę o książce, która dała mi najwięcej wzruszeń i korzyści"

Ogłaszając konkurs wezwaliśmy czytelników do jak najszybszego nadsyłania wypowiedzi. Pokładanych nadziei czytelnicy nie zawiedli. W połowie lutego nadeszło już 50 pierwszych głosów. Są wśród nich dłuższe, są krótkie. Wybór książek — przeróżny.

Zamieszczając poniżej kilka pierwszych wypowiedzi, zachęcamy wszystkich, którzy brać będą udział w konkursie, do dłuższych raczej wypowiedzi, do omawiania również artystycznych wartości utworów, a przy łączeniu opisów książki z wpływem, jaki ona wywarła na czytelnika — do szczegółowszego i konkretniejszego pisania i o jednym i o drugim.

Patriotyzm ludowy

Gdy nadszedł pamiętny wrzesień 1939 roku, miałem 13 lat i niewiele pojmowałem z tego, co wokół mnie się działo. Podczas okupacji słyszałem dużo złorzeczeń na sprawców klęski, nie rozumiałem jednak dobrze pod czyim adresem je kierowano, bo przecież nie szło o same tylko nazwiska. Faktem jest, że straciłem zaufanie do nauczyciela historii, bo jakże — myślałem sobie — mogli tak szybko oddać ojczyznę potomkowie wojowników Krzywoustego, rycerzy spod Grunwaldu, kosynierów Kościuszki?...

Jestem obecnie nauczycielem wiejskim. U młodszych ode mnie, którzy z dziecięcych doświadczeń nie mogli wysnuć właściwej oceny minionej wojny, a tym bardziej u dzieci — obserwuję nierzadko takie zjawisko: powtarzają o czasach przedwojennych zasłyszane opinie i zbyt pochopnie je uogólniając twierdzą, że nie mamy czym się chlubić, było źle i okryliśmy się na koniec hańbą.

Toteż z wielkim wzruszeniem, jako czytelnik i nauczyciel, czytałem „Wrzesień" J. Putramenta i „DNI KLĘSKI" W. Żukrowskiego. Powieść Putramenta ukazała kulisy polityczne „katastrofy wrześniowej". O machinacjach za sanacyjnymi kulisami nie wiedziały setki tysięcy ludzi, choć ich skutki każdy odczuł. Powieść Żukrowskiego uzupełnia tę wiedzę polityczną obrazem bohaterskich zmagań naszego żołnierza, który krwią broczący, bronił zaciekle kraju i ojczyzny. „Dni klęski" dają naszej młodzieży właściwą i sugestywną odpowiedź. Żukrowski bowiem oddzielając ziarno od plew pokazuje, jak to prosty żołnierz walczył i chciał walczyć za ojczyznę, choć dla niego — robotnika i biednego chłopa była ona macochą za sprawą tych, co w dni wrześniowe brali kurs na Zaleszczyki. Powieść Żukrowskiego wychowuje do patriotyzmu ludowego. Nam nauczycielom uzupełnia materiał wykładowy, a w młodzieży rozpala słuszną dumę narodową.

Nie czekałem, aż „Dni klęski" przywędrują do szkolnej biblioteki. Powieść kupiłem wcześniej dla siebie. Ale długo nie zagrzała. Poszła na wieś. Dziś leży przede mną, mocno już sfatygowana. Trzeba będzie kupić jeszcze jeden egzemplarz.

Zygmunt Linke
Święta, pow. Złotów

SEWERYN SKULSKI

Zimowy ranek

JEST szósty lutego. Przedświt. Już nie śpię, choć zmrużonymi jeszcze oczami patrzę na szyby, ukwiecone lodem i szronem. Czas do mleczarni, a tak przytulnie pod pierzyną... Moja „stara" przecedza już mleko, słyszę jak z kubła ciurkocze do konwi. Zrywam się, odziewam, zaprzęgam kobyłę, stawiam na wóz konwie i jadę. Jadę pod wiatr, a wiatr tnie po twarzy i szarpie lejcami. Cholernie mróz gryzie w uszy; zarzucam koc na głowę, teraz kąsa w kolana. Jadą inni. Nawet dzień dobry sobie nie mówimy. Każdy opatulony, po koniach ledwie się poznajemy. Kilometr drogi od domu dziś się bardzo wydłużył. Na torach kolejowych — szlaban. Długi, jak wąż boa, sunie pociąg towarowy. Stęka i sapie, jakby pół świata na sobie dźwigał. Naładowany cegłami, drzewem budulcowym, żelastwem, maszynami dudni i dudni, a spowija go chmura pary i dymu.

Zza sosnowej ściany lasu wytacza się czerwone słońce, wielkie jak koło u wozu. Będzie mróz.

Dopiero w mleczarni przy zagrzewaniu mleka i odciąganiu śmietany, kiedy pozdejmowaliśmy rękawice, witamy się hałaśliwie. Każdy tutaj ochotny do mowy, toczy się więc urywana i wielogłosa. Na gromadzkich zebraniach tak dobrze nie składają się zdania, jak tu w mleczarni, bo tam trzeba wstać; wszyscy od ciebie oczekują bóg wie czego, patrzą ci w oczy, zapominasz więc, co miałeś powiedzieć i siadasz zawstydzony, choć ładną uplanowałeś sobie mowę.

Zza kłębów pary, która unosi się nad kotłem z gorącą wodą, słychać głos Tarkowskiego: — A dlaczego panowie ministry z Zachodu zgodzili się na Konferencję Berlińską? Bo zmusiła ich opinia własnych narodów.

— Macie rację — gada teraz Głowacki — Nie tylko my, ale i narody w krajach kapitalistycznych, które także wojny nie chcą — one właśnie dowiedzą się o projektach ministra Mołotowa. Dowiedzą się, że Związek Radziecki i cały obóz pokoju zdążają nie tylko do odprężenia międzynarodowych stosunków ale i do stworzenia z Niemiec jednego nierozdzielnego państwa demokratycznego, w którym żyć będzie wolny cały naród, nie popychany do militaryzacji i zarzewia wojennego.

Jak coś ciekawszego pomiędzy starszymi, to i młodzi uszy nadstawiają, ale mają też oni swoje różne tajemnice. Uśmiechają się do siebie i niby dla rozgrzewki popycha chłopiec dziewczynę. A tu nagle Marysia Mazurkiewicz jak nie wykrzyknie:

— Wy tam chłopcy fruwacie do przemysłu, a ja sobie pójdę do rolniczej szkoły i powrócę na naszą wieś, bo ją kocham.

Młodzi i starsi dali dziewczynie oklaski.

Wróciłem z mleczarni, zjadłem ciepłe śniadanie. Kobyle dosypałem obroku. Łysocha z Krasulą cicho beknęły, buraków się dopominają, cielakowi też trza dać ciepły napój z otrębami. Jeśli mróz zelży, znajdzie się robota koło zabudowań. Tymczasem sposobię sobie książkę do dzisiejszej lektury na wieczór. Będzie to „Lenin o Polsce i polskim ruchu robotniczym". 30 lat upływa od zgonu tego geniusza klasy robotniczej i przyjaciela naszego narodu. Trzeba się więcej dowiedzieć, co o nas mówił i pisał.

Stanąłem przy oknie. Kawki i wrony pod mroźnym wiatrem zniżają się ku ziemi. Bandyta jastrząb usiadł na wysokiej wierzbie, gałąź się ugięła. A mój Kruczek nie głupi, już go spłoszył. Ratował on wiele razy kury i kurczęta i wie, że moja „stara" dodaje mu zawsze smaczny kąsek, jako premię.

Dziś dzieci koło naszego domu nie przeszły do szkoły. Mróz na 20 stopni. Ale przyszło kilku starszych chłopców. Wiedzą, że koło Skulskiego są stawy.

Patrzę i zazdroszczę im. Moja młodość nie taka była. Na półtora ha przypadało osiem gęb, a chleb matka zamykała w skrzyni i po kromce wydzielała. Na całą rodzinę było dwie pary butów. Gdy z wysokiej góry sankowały dzieci Ciska, co miał 80 morgów albo dzieci Mużacza, co miał 60 morgów, ja tylko na szybę chuchałem ażeby, kiedy lód stopnieje, przez tę dziurkę widzieć, jak one się bawią. Patrzę dziś na chłopaczków jak różne wywijasy czynią na łyżwach, prześcigając się w zdolnościach. Obuci, odziani dobrze, buziaki różowe, rozpędzeni i szczęśliwi.

— Hej tam, stary! — woła żona. — Czyś zapomniał, że dzisiaj masz zebranie w gminie?

— Pamiętam, pamiętam...

— Ale czy ty powleczesz swoje 60 lat pod ten wiatr? 5 kilometrów do Lipna. Bez jednego żołnierza wojna się odbędzie.

— Nie, kochana. Obowiązek społeczny — to święta rzecz. Zwłaszcza w takich czasach, jak dzisiejsze: kiedy na każdym posterunku umacniamy nasze państwo, cementujemy zwartość naszego społeczeństwa i rozwijamy naszą gospodarkę narodową. Pójdę na zebranie. Będziemy tam bronić pokoju przeciw wojnie, będziemy omawiać kontraktację i wywózkę drzewa z lasu, bo gdy wiosna nastanie, tylko szewcy mogą drzewo z lasu wywozić, nie gospodarze. Omówimy pomoc sąsiedzką, przygotowanie ziarna siewnego, maszyn w GOM-ie i maszyn prywatnych. Sprawdzimy jak się realizuje plan mleka i żywca na pierwszy kwartał. Dowiemy się, jak gmina realizuje uchwały podjęte na cześć II Zjazdu Partii. Wszystko to są prace w naszym kraju, aby pokój umocnił się nie tylko u nas, ale i na całym świecie. W tych przygotowaniach ważny jest udział każdego żołnierza.

Wyszedłem. Wiatr znów hula. Brnę do gminy przez pola. Nie po drodze, to prawda, żonie się nie przyznam, wstąpiłem na pocztę.

Miałem co odbierać. Jest „Wieś", „Nowa Kultura", „Nowe Drogi", „Nowe Czasy", „Chłopska Droga", „Gromada-Rolnik Polski", „Życie i Wiedza", „Szpilki", „Głos Ludowy" z USA i „Kronika Tygodniowa" z Kanady. Jest list od redaktora Króla i list z Komisji Rolnictwa i Leśnictwa, zobowiązujący mnie do przeprowadzenia w GS kontroli nawozów, ziarna siewnego, a w GOM-ie maszyn. Jest list od emigranta, liczącego 74 lata, Jana Wróbla z Detroit. Czyta „Głos Ludowy", ale chciałby więcej wiedzieć, jak ludzie żyją u nas na wsi, jak pracują, co się na wsi i jak zmieniło od tych lat, gdy Polska jest ludową.

Nie zawiodę cię, bracie rodaku. Napiszę ci o tym dużo w postępowych gazetach polskich w USA i Kanadzie. Wiem, że Polskę kochasz, kochasz rodzinną wieś, z której nędza cię w świat wygnała. Dla kapitalistów amerykańskich oddałeś młodość w odlewniach, przy budowie dróg, mostów i pałaców milionerów, a dziś na starość może sam czterech ścian na własność nie masz — dlatego, bracie tułaczu, ciekawi cię, jak w ojczyźnie starą nędzę na wsi zwalczono, jakie siły to uczyniły, że dziś każdy ma chleb, pracę, czyta, uczy się, ma dach nad głową i dostatnio ubrany.

Seweryn Skulski

Ostrzej widzę krzywdę człowieka

CHCĘ wam wyrazić podziękowanie za zorganizowanie takiego właśnie konkursu, konkursu dla ludzi, którzy może bardzo nieduwno przeczytali pierwszą w swym życiu książkę, albo też dopiero w Polsce Ludowej zrozumieli wielką wartość książek.

Mój ojciec, rolnik na dwu hektarach ziemi — pamiętam — bardzo kochał książki. Nie starczyło jednak pieniędzy w tamtych latach na ich kupno — więc jeżeli kupował, to najczęściej różnego gatunku kalendarze. Zmarł zaraz po wojnie, nie doczekawszy fali książek, jaka przypłynęła do każdej wsi w naszych czasach.

Matka natomiast była analfabetką; odróżniała tylko nieliczne znaki pisarskie. Nie było w jej życiu warunków na naukę czytania i pisania — nie przeczytała żadnej książki.

My, to znaczy 6 synów — wyrośliśmy w tamtych latach i każdy poznał na własnej skórze poniewierkę, biedę i ucisk, ale dziś żyjemy w ustroju, dla którego człowiek jest wszystkim.

To, o czym wspomniałem na wstępie, może trochę wytłumaczy moje przeżycia przy czytaniu książki i pozwoli zrozumieć innym, dlaczego miałem łzy w oczach tak, jak matka Elżbiety Zawidowskiej, dlaczego zaciskałem kurczowo pięści, jak jej ojciec.

Z tego, co powiedziałem, można się domyśleć, że chodzi o książkę Józefa Kuśmierka: „Uwaga! Człowiek".

Mam prawie 30 lat i przeczytałem sporo książek, szczególnie w ostatnich latach. Ale „Uwaga! Człowiek!" — czytałem trzy razy wraz z rodziną. Każda książka, wydaje mi się, jest jakby wycinkiem życia ludzi, nie każda jednak ukazuje to, na co wyczekujemy najbardziej, sami nawet o tym nie wiedząc. Otóż czytając książkę Kuśmierka w jej uczuciowym napięciu, w jej pasji piętnowania zła i obnażania zamaskowanych form wyzysku człowieka, przeżywałem jakby siebie samego. Tego potrzeba nam aktywistom i biednemu chłopu.

Czytając I-szą część „Bieda Adachowej" przenosiłem się myślą do mojej rodzinnej wsi i okolicy. Przed oczyma stawały mi niby znane, ale nie dość przedtem zrozumiane podobne wypadki i wydarzenia. Widziałem sobowtórów kułaka Kaliny — mających jak on, „niezwykłe zdolności do robienia pieniędzy". Widziałem całe rodziny Adachów uzależnione i wyzyskiwane. Obok wielu pewno ważniejszych myśli autora, wbiła mi się w głowę np. taka: „Kobiety z biedoty wiejskiej nie mają zaradności właściwej bogatym chłopkom... Kobieta taka nie umie rozpychać się łokciami". Przecież to jest prawdziwe odkrycie, z którego nie wolno wiejskiemu aktywiście nie wyciągać wniosków.

W „Sprawie jednego konia" — znalazłem znów mnóstwo analogii do otaczających mnie spraw. Zaciskały się pięści — tak jak tam Zawidowskiemu na spekulantów kradnących konie, przeznaczone dla biedoty i średniaków — tak tu w mojej okolicy na tych, co latami przetrzymywali podania biednych chłopów o kwintal cementu na remont walącej się chaty, czy trochę cegły na poprawę zniszczonego pieca — podczas gdy sami lub ich przyjaciele budowali w tym czasie kamienice.

A jaka korzyść z tej książki? Wiem, że ostrzej i głębiej widzę dziś sprawę człowieka, jaśniej przejawy walki klasowej i mocniej zaciska się pięść. I nie tylko zaciska, ale i podnosi, aby upaść na grzbiet każdego wyzyskiwacza.

Książka ta będzie bliska i pożyteczna dla tych, którzy już wyzwolili się z ucisku i krzywdy. Niech się biją całą siłą o tych, którzy jeszcze sami nie potrafią.

Tadeusz Leśniak
Milówka, p-ta Wojnicz,
woj. krakowskie

Wie, gdzie jego miejsce

JESTEM uczniem klasy VII-mej. Podczas okupacji, kiedy tatuś był w niewoli niemieckiej, a mamusia łącznikiem w partyzantce radzieckiej, mieszkałem u wuja w Puszczy Rudnickiej. Tatuś uciekł z niewoli 7 lutego 1944 r., odnalazł nas i też poszedł do partyzantów. Pamiętam z tych czasów krowę wuja, dwie owce i małą drewnianą chatkę nad rzeką; za rzeką była już puszcza.

Nie zapomnę też pewnego dnia, kiedy jacyś ludzie wybiegli z lasu i okrążyli chatę wuja. Kilku wpadło do środka, kolbami wypchnęli tatusia i mamę. Mnie też z bratem wyciągnęli. Bili nas prętami od karabinów i pytali, czy rodzice są partyzantami i czy do nas ruski przychodzą. Byłem w takim strachu o mamusię i tatusia, że nie mówiłem ani słowa, a nawet nie płakałem i nie krzyczałem, tak samo i mój brat. Aż tu usłyszeliśmy gwizdanie w lesie i banda zbiegła. Po chwili ujrzałem rodziców, a z nimi dużo partyzantów radzieckich. Komendant Reszel powiedział, że te paniczyki nie lubią nas, bo my zabierzemy im ziemię i chłopom rozdamy.

Po wyzwoleniu przyjechaliśmy do Iławy. Mamusia chciała koniecznie działkę ziemi, a tatuś nie, bo jest murarzem i mówił, że bez ziemi teraz damy sobie radę. Mamusia dochowała się z kupionej jałówki krowy, hodowała parę świń i dużo kur. Brała z wylęgarni po 200 kurcząt, a potem jajka nosiła do wylęgarni. Ja bardzo lubię zwierzęta, ale kiedy tatuś krzyczał, że mama nic innego nie umie tylko ciągać za ogony i po gnoju deptać, to i ja udawałem, że wcale mnie żywizna nie interesuje. W szkole koledzy również nazywali mnie „chaziajem", że mamy ziemię i krowę. W naszej klasie ja i Władysław Gral byliśmy z gospodarki. Władek mieszkał na „Lipowym Dworze", bardzo się z nim przyjaźniłem i całe niedziele tam spędzałem. Przypatrywałem się, jak na „Lipowym Dworze" zakładano spółdzielnię, jak przeszkadzali kułacy, jak ojciec Władka mówił zawsze, że trzeba walczyć. „Trzeba walczyć" — słyszałem też od mamusi, która jest korespondentką. Rozumiałem, że trzeba walczyć, bo mamusia otrzymywała listy od nieznanych autorów, w których grozili, że napadną na nas w nocy za to, że mamusia pisała prawdę o kułakach i szkodnikach.

Od czerwca ub. roku jesteśmy w Kwidzyniu, tatuś pracuje w melioracji, ale ma zamiar pójść do PGR-u. Ja czytam dużo, również te książki, które mamie przysyłają redakcje. Przeczytałem „Cichy Don" i Zorany ugór" Szołochowa, Makarenki, „Poemat pedagogiczny", Gorkiego „Matka" i „Dzieciństwo", Putramenta „Wrzesień". Jeśli czegoś nie rozumiem pytam się mamusi i długo rozmawiamy o tej książce.

Teraz właśnie przeczytałem książkę „Krystek z Warszawy" J. Broniewskiej i o tej książce chcę napisać. Bo jest to pierwsza książka w moim życiu, która mnie tak wzruszyła i zawstydziła przed samym sobą.

„Krystek z Warszawy"... Pomyślałem: będzie coś o powstaniu i obronie Warszawy, a to mnie bardzo interesuje. Czytałem już Przewłockiej „Miasto w ogniu".

„Krystek" wychodzi z piwnicy wśród ognia działań wojennych. Sam jest głodny, ale ścierpieć nie może głodu małych dzieci w piwnicy. Chce im chociaż rzepy nazbierać w polu. W polu spostrzega niezwykłe poruszenie Niemców. Skrył się w chlewku i ze stryszka całą noc śledził ruch Niemców. Widział jak uliczkami w popłochu uciekali za Wisłę. Grupa 20-tu Niemców skryła się w pobliżu. A z drugiej strony z krzaków gwizdanie. Krystek domyślił się, że to pewnie nasi. Podchodził powoli, jakby zbierał kartofle. W krzakach dwaj polscy żołnierze i jeden radziecki, pochwalili go, że dobry zwiadowca. Poszedł Krystek do sztabu z łącznikiem Felkiem. Tam spotkał „Pana Janka", który był towarzyszem partyjnym ojca za czasów sanacyjnych, a obecnie kapitanem. Krystek oddał wielką przysługę, wskazując gdzie był ukryty wróg. Został przyjęty na syna pułku. Kochali go żołnierze za dzielność. Krystek najbardziej był przywiązany do „wujcia amunicyjnego", który wyjaśniał Krystkowi za co walczą i jaka będzie ich wywalczona Polska. Krystek idzie aż do Berlina z armią polską i radziecką. Rozpieszczają go żołnierze radziecey. Dają mu ze swojej porcji cukru i sucharów. Ale najszczęśliwiej czuje się Krystek, gdy żołnierze uważają go za towarzysza broni, bo przecież Krystek ma dopiero 13 lat, ale walczy i zostaje ranny. Po skończonej wojnie odznaczono go Krzyżem Walecznych. Najbardziej wzruszyło mnie to, że Krystek po skończonej wojnie wiedział, gdzie jego miejsce. Wracał do Warszawy, był z rodziny murarskiej, pragnął odbudować zniszczone miasto.

Pamiętał słowa „wujcia amunicyjnego", że jemu trzeba jeszcze „do klas wrócić". I chociaż kochał „wujcia" jak ojca, to jednak na propozycję, żeby jechał z nimi na Ziemie Odzyskane, Krystek odmówił. I choć nie miał już rodziców, tylko stryja i stryjenkę, wrócił do Warszawy. Tu rozgoryczyły go typy szabrowników, ale robotnicy pocieszają go, że to wszystko minie, tylko trzeba walczyć. Krystek uczy się i już dobrze wie, gdzie jego miejsce.

Gdy rozegnali bandę ukrytą w składzie przedsiębiorcy, u którego stryj pracował, zabrali maszyny i narzędzia do spółdzielni budowlanej i zaczęli nowe socjalistyczne budownictwo stolicy. Gdy Krystek jedzie w goście na Ziemie Odzyskane, widzi wspólną pracę na roli, widzi nowe życie. Sam opowiada o odbudowującej się Warszawie. Krystek, jak i jego koledzy Kościuszkowcy wiedzieli, gdzie ich miejsce.

Za kilka miesięcy skończę szkołę podstawową, ale dotąd nie wiem jeszcze, gdzie mam pójść, w jakim kierunku. I choć czytałem w gazetach tezy przedzjazdowe, że trzeba wieś podnieść do poziomu przemysłu, że potrzeba tu aktywistów i fachowców, to jednak nie powiedziałem na konferencji szkolnej, że chcę się uczyć dalej dla rolnictwa. Bo w naszej szkole dużo jest dzieci ze spółdzielni produkcyjnej i PGR-ów, ale nikt nie przyświadczył, że będzie się uczył o rolnictwie. Tutaj wszystkim w głowie marynarka.

„Krystek z Warszawy" wzruszył mnie, bo on wiedział gdzie jego miejsce i zawstydził mnie, bo ja jeszcze nie wiem gdzie moje miejsce i czego mam się dalej uczyć?

Józef Augustynowicz
Kwidzyń

Pracować nad sobą

W powieściach radzieckich, jak się sam przekonałem, nie ma nic zmyślonego, nic fantastycznego, choć nieraz wydarzenia w nich zawarte wydają się prawie nieprawdopodobne.

Oto np. Borysa Polewoja „Opowieść o prawdziwym człowieku". Książkę tę czytałem dwa razy. Z największym napięciem śledziłem losy bohatera Mariesjewa. Przeżyłem z nim każdą chwilę: walki, strącenia samolotu i stracenie nóg. Razem z nim cierpiałem, kiedy stawiał pierwsze kroki na nogach bez stóp. Przeżyłem jego wysiłek i upór. Ale był moment, kiedy się zatrzymałem w czytaniu bardzo zdumiony w najważniejszej i najbardziej bolesnej chwili, kiedy to po odjęciu mu nóg nie załamywał się, a zdecydował — nieprawdopodobne — powrócić do pracy i walki lotnika. Po przeczytaniu tej powieści zrozumiałem dlaczego ludzie radzieccy zwyciężyli, dlaczego zbudowali u siebie socjalizm. Pod jej wpływem i ja zapragnąłem podjąć wytężoną pracę nad sobą, aby stać się bardziej pożytecznym dla naszej ojczyzny.

Ukończyłem dawniej VII klas, ale uczyć się dalej nie było żadnej możliwości. W szkole podstawowej miałem słabe stopnie, toteż nauka z latami wywietrzała.

Jako rolnik miałem więc słabe wyniki w pracy. „Prawdziwy człowiek" Polewoja powiedział mi: dlaczego masz poprzestać na tym? Pracuj nad sobą! Zabrałem się najpierw do czytania pism rolniczych, przez co już uzyskałem większą wydajność z gleby. A potem zapisałem się do szkoły korespondencyjnej. Dziś łącze pracę fizyczną z nauką. I w najbardziej trudnych warunkach przypominam sobie Mieriesjewa.

Każdemu radzę przeczytać „Opowieść o prawdziwym człowieku"; pomoże ona nie załamać się w żadnej chwili.

Walerian Skok
Wciokła, pow. Augustów

LESZEK MOCZULSKI

NIEMCY ZJEDNOCZONE — ALE JAK?

Sekretarz Stanu USA w szóstym dniu obrad konferencji berlińskiej oświadczył: „Jak wykazuje historia, problem bezpieczeństwa Europy związany jest ze sprawą niemiecką. Chcemy zjednoczonych Niemiec, ale chcemy zarazem pewności, że zjednoczone Niemcy będą miłującymi pokój Niemcami". Z tym zdaniem pana Dullesa trudno się nie zgodzić.

Tak, problem niemiecki nie jest sprawą samą w sobie. Od tego, jakie będą Niemcy, zależy w znacznej mierze pokój w Europie. Niemcy militarystyczne-kajzerowskie i hitlerowskie — Niemcy rządzone przez baronów węgla i stali, wywołały w

ostatnich 40 latach dwie wojny, które płomieniem swoim ogarnęły cały świat. W ostatniej zginęło 27 milionów ludzi, w tym sześć milionów Polaków.

Dlatego też nowe Niemcy muszą być innym państwem: państwem pokojowym, opartym na podstawach demokratycznych i — jednolitym.

GRANICA CZASU

Nad Hawelą i nad Renem o tej samej porze, wybijają zegary te same godziny. A jednak linia Łaby oddziela nie tylko dwie części Niemiec. Jest ona również granicą czasu.

Republika Federalna (oficjalna nazwa Niemiec Zachodnich) w wielu szczegółach nie różni się od III Rzeszy Hitlera.

Szef tego państwa Adenauer — dawny kolega partyjny von Papena, który utorował drogę do władzy Hitlerowi — nieraz już dał wyraz swemu wrogiemu stosunkowi do ZSRR i krajów demokracji ludowej. Otwarcie pobrzękuje szabelką, licząc na wsparcie swych dolarowych mocodawców.

A za słowami idą czyny. Hitlerowski sztabowiec, Blank sprawujący obecnie funkcję ministra wojny, opracował już projekt przyszłej armii zachodnio-niemieckiej. Początkowo wejść mają w jej skład trzy dywizje pancerne po 300 czołgów każda, trzy dywizje lekkie po 180 czołgów i sześć dywizji piechoty zmotoryzowanej, każda wsparta 80 czołgami.

To na początek: w następnym etapie Blank przewiduje organizację 60-ciu dywizji nowego Wehrmachtu.

Kadry dla tej odwetowej armii wychowuje ponad 450 militarystycznych organizacji. Jedna tylko z nich, Stahlhelm przygotowała już 135 tysięcy b. wojskowych na oficerów i podoficerów.

Ale co tu mówić o przyszłości! Już dziś w Niemczech zachodnich istnieje 400-tysięczna armia, ukryta pod nazwami „straży granicznej", „policji" itp. Armia ta wyposażona jest w nowoczesną broń z czołgami włącznie.

Bazą tych wyczynów jest zasilany wartkim strumieniem dolarów ciężki przemysł. W Niemczech zachodnich pełną parą pracuje 400 fabryk zbrojeniowych. Krupp, po otrzymaniu z powrotem wszystkich swoich przedsiębiorstw znowu zbroi imperialistyczne Niemcy. Produkuje nadal I. G. Farben. Bankier Hitlera, Schacht, zakłada nowy bank w Hamburgu.

A równocześnie prześladuje się obrońców pokoju. Za czynny udział w ruchu obrony pokoju policja wtrąca do więzień.

Adenauer chciałby zlikwidować pokojową Niemiecką Republikę Demokratyczną, rozszerzając na całe Niemcy bazy militaryzmu i agresji.

Jakże inaczej jest na wschód od Łaby i Harzu.

W Niemieckiej Republice Demokratycznej, stosownie do układu poczdamskiego, zlikwidowano bazę militaryzmu i imperializmu. Nie ma tam już monopoli i oligarchii finansowej, znikli junkrzy, a ich ziemie przeszły w ręce chłopów. Usunięty został dawny faszystowski aparat władzy i ucisku. W NRD nie wpaja się nikomu uczuć nienawiści do innych narodów. Przeciwnie. Dzieci w szkołach uczą się przyjaźni, wychowywane są w duchu pokojowym i demokratycznym. M. in. w duchu przyjaźni z Polską, sąsiadem zza Odry i Nysy — granicy pokoju.

Między Odrą a Łabą rozwija się kultura i sztuka. Najwybitniejsi pisarze niemieccy: Anna Seghers, Johannes Becher, Bertold Brecht, Arnold Zweig, tworzą dzieła przepojone głęboką humanistyczną treścią i przyjaźnią do innych narodów. Rozwija się twórcza dyskusja naukowa — niezbędny czynnik postępu. W NRD nie wolno szerzyć propagandy wojennej, nienawiści rasowej, czy narodowej, dążyć do wywołania nowej wojny.

DWA PROJEKTY

4-ry tygodnie trwa w Berlinie dyskusja nad zagadnieniem Niemiec. Toczyła się ona nad dwoma projektami, dwiema koncepcjami: radziecką i zachodnią.

Projekty mocarstw zachodnich przewidywały, że zjednoczenie Niemiec powinny poprzedzić tzw. „wolne" wybory, kontrolowane przez cztery mocarstwa i kraje neutralne, wybory przeprowadzone według ordynacji wyborczej, opracowanej przez cztery mocarstwa. Zgromadzenie narodowe, wyłonione tą drogą miałoby opracować konstytucję. Na jej podstawie powołany byłby rząd ogólnoniemiecki przejmujący władzę w obu częściach Niemiec, uprawniony do zawarcia traktatu pokojowego.

Zatrzymajmy się bliżej nad głównym punktem tego programu — sprawą wyborów. Nasuwa się pytanie: czy można nazwać wolnymi takie wybory, nad którymi całkowitą kontrolę sprawować będą obce państwa?

Jak takie „wolne" wybory mają wyglądać — uwidocznia przykład 6 września ub. roku, kiedy to podobna komedia odbyła się w Niemczech zachodnich. Partia „Zentrum" zdobyła wtedy 200 tys. głosów i otrzymała 4 mandaty. Komunistyczna Partia Niemiec nie otrzymała natomiast ani jednego mandatu mimo, że głosowało na nią 600 tysięcy wyborców. Podobnie było z mieszczańską, ale sprzeciwiającą się awanturniczej polityce wojennej „Deutsche Volkspartei". I ta partia nie dostała ani jednego miejsca w parlamencie, wbrew oczywistej woli głosujących.

A poza tym... Projekt zachodni dziwnie przypomina takie same „wolne" wybory, które w atmosferze dzikiego terroru przyniosły w 1932 roku zwycięstwo Hitlerowi.

Gdyby jednak rzeczywiście plan mocarstw zachodnich przyczyniał się do utrwalenia pokoju, na pewno potępiliby go rewizjoniści i generałowie Hitlera — zbrodniarze wojenni. Cóż więc czynią Adenauer i Mannstein, Kesselring i Guderian? Entuzjastycznie popierają projekt zachodni.

Nic dziwnego. Przecież plan zjednoczenia Niemiec przedstawiony na konferencji berlińskiej przez Edena

(Dokończenie na str. 7)

M. J. FLOWER

NA CZARNYM LĄDZIE I GDZIE INDZIEJ

Saul, to stolica sułtanatu tejże nazwy. Na miejscowym rynku zobaczycie osobliwą scenę. Wokół grupy mężczyzn i kobiet stojących nieruchomo uwija się tłum żywo gestykulujących, podnieconych handlarzy. Co chwila któryś z nich podchodzi, bada mięśnie, ogląda zęby. Oto dostojny starzec po długich targach nabył młodą dziewczynę za 200 riali. To zaufany sułtana;

Jesteście na sławnym w całej Arabii i Afryce targowisku niewolników.

Kiedy?

W drugiej połowie XX wieku. Teraz. Za cenę 25 do 200 riali sprzedaje się mężczyzn i kobiety w Saulu, który wchodzi w skład brytyjskiej kolonii Aden. Na zapytanie dlaczego tolerują ten stan rzeczy, urzędnik administracji brytyjskiej odpowiada: „W Adenie istnieje wprawdzie handel niewolnikami, ale nie obejmuje więcej niż 1000 osób rocznie. Władze patrzą przez palce na ten proceder, ponieważ niewolnicy sprzedają się dobrowolnie..." w obawie przed śmiercią głodową".

Zapamiętajcie to sobie dobrze. W XX wieku istnieje handel niewolnikami tolerowany przez wielkie, potężne i „cywilizowane" państwo.

✠

180 milionów ludzi żyje na 30 milionach kilometrów kwadratowych ziemi, zasobnej we wszystkie największe skarby tego świata: od symbolicznego już złota i diamentów — do bogactw bardziej konkretnych i bardziej człowiekowi potrzebnych: manganu i chromu, miedzi i wanadu, cyny, antymonu, fosforytów, aż do złowrogiego uranu włącznie. Ziemi urodzajnej i żyznej, niewykorzystanej w pełni, czekającej na piękny trud rolnika i hodowcy.

To Czarny Ląd — Afryka.

Na tym wielkim kontynencie nie znajdziecie ani jednego rzeczywiście niepodległego państwa. Ta część świata jest prawie jedną wielką kolonią: Wielkiej Brytanii, Francji, Belgii, Portugalii, Hiszpanii i Włoch. Jeżeli przejrzycie pisma państw kolonialnych, znajdziecie w nich wiele słów o „misji cywilizacyjnej białego człowieka" i jego „posłannictwie wśród ludów na niskim stopniu rozwoju", czy też „pomocy dla krajów gospodarczo zacofanych".

✠

On Limuru jest stary, bardzo stary jak na Murzyna, bo ma więcej niż 60 lat. Nie imała się go ani febra, ani straszna śpiączka afrykańska, ani żadna z chorób zawleczonych tu przez Europejczyków, jak syfilis, czy gruźlica. Nie zmogła go straszna harówka u białego plantatora. Gdyby On Limuru spisał historię swego życia — byłaby to historia jego kraju na przestrzeni tego stulecia. Ale On Limuru nie umie ani pisać, ani czytać — nigdy się tego nie uczył podobnie jak 99 procent jego rodaków. Ważniejsze daty ma jednak dobrze zakarbowane i upamiętnione na własnym ciele.

On Limuru wegetuje w rezerwacie — tej wielkiej „zdobyczy cywilizacyjnej", którą stworzyli gospodarzom tej ziemi biali intruzi. Podobnie wegetuje w rezerwatach Kenii 5 i pół miliona Murzynów, którym biali oddali 130 tysięcy kilometrów kwadratowych nieurodzajnej ziemi, gdzie obfite żniwo zbiera malaria i mucha tse-tse, niosąca straszną śpiączkę afrykańską. Za to 3.000 białych plantatorów zatrzymało sobie 42 tysiące kilometrów kwadratowych najżyźniejszej ziemi.

Prawo białego człowieka wprowadziło podatki. I Murzyn musi je płacić — o ile ma z czego. Biały człowiek w Południowej Rodezji żąda od Murzyna podatku od posiadania psa i żony. Kto nie płaci — zostanie uwięziony. Takie jest prawo białego człowieka na Czarnym Lądzie. A skutek? 10 proc. ludności murzyńskiej znajduje się w stałej kolizji z „prawem" i siedzi w więzieniu. Przepraszam, nie siedzi w więzieniu, lecz pracuje przymusowo właśnie na fermach i plantacjach. A cel całej szopki ustawodawczej? Dostarczyć bezpłatnej siły roboczej. Prawo daje tylko pretekst, żeby dopływ przymusowej pracy więźniów — nie ustawał.

✠

Stary On Limuru i jego czarni bracia czarnymi rękami tworzyli fortunę sir Roberta Johnson-Hansta. Czarne ręce na Czarnym Kontynencie tworzyły bogactwa jednostek, koncernów, monopoli. Koncern Unilever Company — tak się nazywa faktyczny władca Nigerii — wypłacił swoim udziałowcom 80 milionów funtów szterlingów zysku. „Union Minière du Haut-Katanga" z belgijskiego Konga wypłaciła swoim udziałowcom w ciągu ostatnich 7 lat 55 milionów dolarów. „Niepodległa" Liberia należy do wielkiego koncernu gumowego „Firestone".

Bogactwami Afryki zainteresował się po tej wojnie kapitał amerykański. Amerykańscy monopoliści wyciągają chciwe ręce po miedź z Rodezji, mangan ze Złotego Wybrzeża, grafit i kwarc z Madagaskaru, a przede wszystkim po uran z Konga i Południowej Afryki. Uran jest podstawą produkcji atomowych bomb... 300 milionów dolarów zainwestowali w Afrykę amerykańscy businessmani. A każdy z tych dolarów ma obrastać w nowe centy i dolary zysków, jak największych zysków.

Miliony chłopów murzyńskich wypędzono z ziemi, którą uprawiali, przekazując ją wielkim monopolom górniczym lub białym plantatorom. W imię zysku.

A co z tego przypadnie tym, którzy tworzą te bogactwa — synom tej ziemi? „Misja cywilizacyjna białego człowieka". Na 30 milionów mieszkańców Nigerii przypada aż 10 szpitali, 212 lekarzy i... 10 tysięcy komisariatów policji. Na 100 dzieci murzyńskich w Afryce uczyć się może w szkole najmniej jedno — a najwyżej dziesięcioro dzieci.

W ojczyźnie starego On Limuru — w Kenii — 42 tysiące Europejczyków wybiera 35 posłów, a 8 milionów Murzynów — reprezentuje 8 posłów... mianowanych przez gubernatora.

W Unii Południowo-Afrykańskiej osiem i pół miliona Murzynów może wybrać 9 posłów, w tym 6 białych... „Europejska misja cywilizacyjna w Afryce".

✠

Czarny Ląd budzi się.

3 listopada 1952 roku — to pamiętna data w dziejach afrykańskiego kontynentu. W tym dniu wybuchł pierwszy strajk generalny w całej Afryce francuskiej. Afrykańczycy żądali wprowadzenia ustawodawstwa pracy. Jesienią ubiegłego roku fala strajków kierowanych przez związki zawodowe przeszła jak gwałtowna, afrykańska burza przez Afrykę francuską, Złote Wybrzeże, Nigerię i inne posiadłości brytyjskie.

Rolnicy afrykańscy zaczynają organizować spółdzielnie skupu, broniąc się w ten sposób przed wyzyskiem i oszustwem towarzystw eksportowych. Rolnicy odmawiają sprzedawania swych produktów za bezcen. Na Wybrzeżu Kości Słoniowej odmówili sprzedawania kakao towarzystwom europejskim. Z walką gospodarczą idzie w parze walka o prawa polityczne. W Unii Południowo-Afrykańskiej Murzyni, Mulaci i Hindusi prowadzą zorganizowaną walkę przeciwko dyskryminacji rasowej. W Tanganice, Nigerii, Senegalu Afrykańczycy walczą o najelementarniejsze swobody i prawo do samorządu. A tam, gdzie ucisk staje się nie do wytrzymania zrozpaczeni Murzyni chwytają, tak jak w Kenii za broń.

Pod Apelem Sztokholmskim złożyło swe podpisy pół miliona Afrykańczyków.

✠

To o czym pisałem — nazywa się krótko: system kolonialnego ucisku i wyzysku.

Dziś, w XX wieku na każdych stu ludzi na świecie żyje w jarzmie tego systemu 65. Udział tych ludzi w dochodzie narodowym wynosi tylko... 16 proc. Zestawienie cyfr mówi samo za siebie.

Zrzuciły jarzmo kolonialnego ucisku wielkie Chiny, Korea Północna i Wietnam. W ich ślady idą inne kraje. Bo — jak powiedział Stalin: — „era niczym niezakłóconego wyzysku i ucisku kolonii i krajów zależnych minęła. Nastąpiła era rewolucji wyzwoleńczych w koloniach i krajach zależnych; era przebudzenia się proletariatu tych krajów, era jego hegemonii w rewolucji."

M. J. Flower

ZBRODNICZE MARZENIA

(Przegląd prasy niemieckiej z ostatnich tygodni)

STARYM SZLAKIEM

Rząd Adenauera zamierza zwerbować 86 tysięcy ludzi tylko do samego lotnictwa myśliwskiego zachodnio-niemieckich sił lotniczych. (B. pułkownik hitlerowski, obecnie funkcjonariusz rządu bońskiego, Steinhof, w wywiadzie dla „Soldatenzeitung").

Grupa b. pilotów hitlerowskich odleciała do Anglii, aby na kilkumiesięcznych kursach przejść przeszkolenie. Wraz z pilotami odlecieli instruktorzy, którzy mają później szkolić bońskie kadry lotnicze. Ostateczne wyszkolenie pilotów i instruktorów zostanie przeprowadzone na wyższych kursach lotniczych w USA. (Agencja prasowa „ADN").

Rząd Adenauera projektuje wybudowanie w najbliższym czasie w stoczniach zachodnio-niemieckich 180 okrętów wojennych. Wielkość i typy tych okrętów będą przystosowane do norm przewidzianych przez pakt atlantycki i wyposażone w najnowocześniejszą broń i urządzenia techniczne. („Hamburger Abendblatt").

W ślad za wypowiedzią amerykańskiego ministra marynarki Kimballa, że „USA zachowały dla Niemiec zdobyte okręty wojenne, które obecnie są unowocześniane", rząd Stanów Zjednoczonych przekazał Niemcom zachodnim pierwszą partię (ponad 100) jednostek morskich. Jednocześnie Urząd Blanka (Ministerstwo Wojny) zapowiedział, że w skład tworzonej obecnie zachodnio-niemieckiej floty wojennej wejdą krążowniki, ścigacze, łodzie podwodne, okręty patrolowe, desantowe i inne. Przewiduje się również utworzenie lotnictwa morskiego. („Soldatenzeitung").

JAK PRACUJĄ DLA WOJNY

Związek przemysłowców zachodnio-niemieckich podał do wiadomości, że w ub. roku przemysłowcy powołali do życia tzw. „Arbeitskreise für Rüstungsfragen", które zajmą się zasadniczymi sprawami produkcji zbrojeniowej. Jednocześnie utworzono tzw. „Arbeitsgruppen", które przedyskutują sprawy techniczne, związane z produkcją wojenną. Związek zapewnił, że „przemysł niemiecki bierze na siebie zadania związane ze zbrojeniami". (ADN)

Według oświadczenia przedstawiciela USA, delegowanego do planu Schumana, Bruce, Niemcy zachodnie powinny produkować broń chemiczną, bakteriologiczną i atomową. Bruce polecił Adenauerowi opracowanie odpowiednio „szerokiego planu". (ADN)

Boński minister gospodarki, Erhard, złożył oficjalne oświadczenie, iż zachodnio-niemieckie przedsiębiorstwa, wykonujące zamówienia wojskowe, otrzymają ulgi podatkowe. (ADN)

Wszystkie wyższe stanowiska w przyszłych zachodnio-niemieckich jednostkach będą stały otworem dla b. generałów i oficerów SS. (Zachodnio-niemiecki minister wojny, Blank, w „Soldatenzeitung").

Minister komunikacji Niemiec zachodnich, Seebohm, zapowiedział, iż dąży do tego, by „budować drogi, które by wytrzymywały ciężar wozów pancernych". („Landeszeitung").

Od 1951 roku do chwili obecnej w Niemczech zachodnich pojawiło się 200 książek, apoteozujących grabieżczą wojnę hitlerowską. (ADN)

Badenia-Wirtembergia przekształcona jest obecnie w ośrodek przygotowań wojennych. Na obszarze tym odbywa się budowa lotnisk i innych urządzeń wojskowych, jak również szkolenie najemników zachodnio-niemieckich. Szkolenie prowadzą byli oficerowie hitlerowcy. Np. w Esslingen jedną z takich kompanii dowodzi b. generał hitlerowski, Martin Unrein, obecnie służący w armii amerykańskiej. W szkoleniu bierze także udział b. Hauptsturmführer SS, Gerhard Solleder. (ADN)

A KTO POJDZIE ZA NIMI?

Rząd boński podał do wiadomości, że biura werbunkowe zdołały zarejestrować 115 tysięcy mężczyzn. Tygodnik „Welt am Sonntag" pisze, że większość z nich sprowadziło na tę drogę bezrobocie i nędzne warunki życia. Perypetie życiowe jednego z nich opisuje wspomniany tygodnik następująco: „Starał się on o pracę u rzemieślników, szukał jej w administracji miejskiej, lecz wszędzie bezskutecznie. Młodzieniec, który dostanie się w taką zagmatwaną sytuację, może stracić nerwy. Z naszym rozmówcą rzecz przedstawia się podobnie. Nie widząc innego wyjścia, zwrócił się z prośbą, aby ubrano go w mundur wojskowy".

Wskutek protestu ludności i władz miejscowych amerykańskie władze okupacyjne musiały zrezygnować z zagarnięcia 1500 ha ziemi w Nadrenii i Palatynacie w okolicach miejscowości Deisel, Siesbach i Kurzweiler. Tereny te miały służyć jako poligony wojskowe. (ADN).

Zakładanie przez władze brytyjskie komór dla materiałów wybuchowych w śródmieściu Dortmundu wywołało silne wzburzenie wśród ludności. (ADN)

✠

Podajemy kilka wycinków z prasy niemieckiej, omawiających jeden problem — remilitaryzację Niemiec zachodnich. Pochodzą one z ostatnich tygodni, sprzed i z okresu konferencji berlińskiej i reprezentują marzenie monopolistów, militarystów i rewizjonistów bońskich, wsparte pomocą USA. Ale dziś, po konferencji berlińskiej, po wielkim wkładzie pokojowym Związku Radzieckiego, wiemy, że patrioci Niemiec zachodnich, że Niemiecka Republika Demokratyczna, że bojownicy o pokój Francji, Anglii, Ameryki i całego świata mają w swym ręku nową potężną broń, którą skutecznie paraliżować będą realizację tych zbrodniczych marzeń.

(K)

Sprawy międzynarodowe

STANISŁAW ZIEMAK

NOWY ETAP W WALCE O POKÓJ

W tych dniach odwiedził naszą redakcję jeden z przodujących korespondentów chłopskich. Mówiąc o tym, co dziś w życiu politycznym najbardziej wieś interesuje, powiedział:

— Chłopi pilnie śledzili obrady konferencji berlińskiej. Projekt ministra Mołotowa w sprawie bezpieczeństwa zbiorowego w Europie, trafił nam głęboko do przekonania. Wspólna obrona pokoju przez wszystkie państwa europejskie łącznie ze zjednoczonymi demokratycznymi Niemcami — to przecież najpewniejsza gwarancja zachowania go na długie lata!

— Toteż w żadnej chyba sprawie — dodał po chwili nasz rozmówca — krętactwo przedstawicieli mocarstw zachodnich, odrzucających plan Mołotowa, nie ujawniło się tak jaskrawo, jak w tym właśnie wypadku.

Ocena przez polskiego chłopa taktyki zachodniej dyplomacji na konferencji berlińskiej niewiele odbiega od oceny jej postępowania przez opinię publiczną krajów zachodnich. Niemiecki dziennik mieszczański „Bremen Nachrichten" pisze: „Stanowisko Zachodu (w sprawie wniosku Mołotowa) brzmi, jak wykręt".

Bo i jakże można nazwać inaczej odmowę ministrów Dullesa, Edena i Bidaulta przyjęcia wniosku radzieckiego za podstawę do dyskusji nad zapewnieniem bezpieczeństwa w Europie? Wniosek ten stoi ściśle na gruncie Karty Narodów Zjednoczonych; ustala, że żadne z państw-sygnatariuszy paktu nie może uciec się w stosunkach międzynarodowych do stosowania przemocy; stanowi, że państwa objęte paktem bezpieczeństwa zbiorowego zobowiązują się wspólnie podejmować skuteczne środki do zapobieżenia groźbie napaści zbrojnej; nakłada na sygnatariuszy układu obowiązek strzeżenia pokoju w Europie, nie dopuszczając do podważenia jakiegokolwiek z istniejących zobowiązań międzynarodowych. — Jakże — powtarzamy — można inaczej określić ten krąg przedstawicieli mocarstw zachodnich, skoro istotą wniosku min. Mołotowa jest usunięcie groźby wojny i doprowadzenie do trwałej współpracy pokojowej między narodami?

Toteż specjalny wysłannik organu Francuskiej Partii Komunistycznej „Humanité" mógł z nieodpartym uzasadnieniem stwierdzić: „Nasi „Europejczycy" nie mogą odrzucić proponowanego przez Związek Radziecki projektu — bez zdemaskowania się". A paryski dziennik „Liberation" mógł z całkowitą słusznością podkreślić: „Nigdy jeszcze nie zgłoszono tak doniosłej propozycji, mającej na celu zlikwidowanie podziału świata ...i zapewnienie pokoju. Jest to projekt wielkiej śmiałości, doskonale logiczny, otwierający nowe horyzonty... Można tylko ubolewać, że taka inicjatywa nie wyszła od nas".

✠

Odnotowaliśmy wyżej bardzo znamienne głosy z różnych krajów. Każda z przytoczonych wypowiedzi wypływa oczywiście z odmiennego sposobu widzenia omawianego problemu. A jednak wszystkie są uderzająco zgodne co do tego, że w gmachu, w którym konferencja obradowała, z ust ministra Mołotowa padły słowa, będące wyrazem dążeń całej miłującej pokój ludzkości.

Jakże zostały one przyjęte przez reprezentantów trzech mocarstw zachodnich?

Dajmy znowu możność wypowiedzenia się na ten temat prasie ich ojczystych krajów.

Agencje zachodnie sygnalizowały z Berlina już w dniu zgłoszenia radzieckiego projektu: „Propozycje przedłożone przez Mołotowa wywołały ze strony amerykańskiej prawdziwy wybuch wściekłości".

„New York Times" napisał ze zdumiewającą szczerością: „Dulles nie przywiózł do Berlina żadnego nowego planu. Będzie też zadowolony jeśli po zakończeniu konferencji polityka amerykańska pozostanie na tej samej pozycji co przed konferencją jeśli sojusz zachodni nie zostanie naruszony" „Humanité" stwierdzała: „Prawdziwe zastrzeżenie (Paryża, Londynu i Waszyngtonu do projektu radzieckiego) jest tylko jedno; wyjaśnia ono jednak wszystkie inne: imperializm amerykański nie chce wypuścić ze swych rąk Europy, którą eksploatuje i którą zamierza wykorzystać dla swoich celów wojennych".

Komentator angielskiej agencji Reutera dowodzi, że „w kołach mocarstw zachodnich uważa się radziecki plan dla Europy — za najpoważniejszy ze wszystkich ciosów zadanych dotychczas zachodniemu systemowi obrony" (czytaj: wojny — S. Z.).

✠

Narody doceniają olbrzymie polityczne znaczenie konferencji berlińskiej. Ludność Paryża w ciągu paru godzin rozchwytała stutysięczny nakład specjalnego wydania „Humanité" z wnioskiem Mołotowa o zbiorowym bezpieczeństwie w Europie. Nie mogąc taić żywej reakcji społeczeństw na doniesienia z Berlina prasa włoska pisała, że w kołach politycznych Francji ślepe kroczenie ministra Bidaulta „po amerykańskiej linii" wywołało powiew buntu. Na łamach rzymskiego pisma „Paese Sera" generał Carboni podkreślił, że „jeśli Amerykanie pragną narzucić naszej części świata hegemonię militaryzmu niemieckiego, to Europa będzie zmuszona powiedzieć, że jest to sprawa jej życia lub śmierci". „Europa — dowodził generał dalej — nie po to przelewała krew i nie po to została zniszczona w dwóch wojnach światowych" (przeciwko imperializmowi niemieckiemu), „by podarować mu odniesione zwycięstwa dla zaspokojenia interesów obcego Europie kraju".

✠

Przytoczone wyżej uwagi nie wymagają komentarzy. Posiadają one swą własną wymowę. Konferencja berlińska była jednym z wyjątkowo ważnych etapów w walce o pokój.

Związek Radziecki, który tej walce przewodzi, dał w Berlinie nowy wielki wkład w dzieło pokoju — i jeszcze jeden dowód, jak wytrwale broni idei pokojowego współżycia narodów, idei zespalającej dziś wszystkich prostych ludzi na globie.

Wola społeczności ludzkiej we wszystkich krajach, powszechne jej pragnienie uchronienia świata od katastrofy — nie mogą w tej porywającej walce nie odnieść zwycięstwa.

Stanisław Ziemak

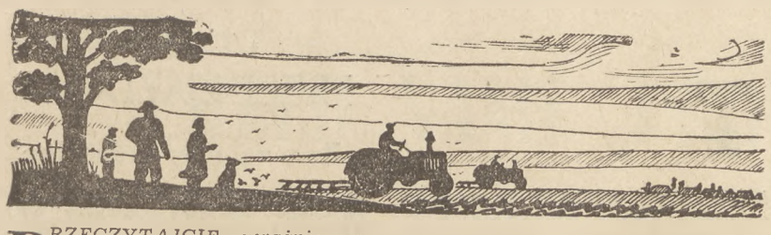

ZOBOWIĄZANIA GROMADY BIEGONICE

PRZECZYTAJCIE uważnie zamieszczony obok tekst zobowiązań gromady Biegonice (pow. Nowy Sącz). Stanowi on dokument wielkiej wagi zarówno dla działaczy gospodarczych, jak kulturalnych. Łączy bowiem zadania rolnicze z kulturalno-oświatowymi w jedną całość gromadzkiego planu na r. 1954. Gromadzkim można go nazwać nie tylko dlatego, że gromada uchwaliła, ale — co ważniejsze — dlatego, że prawie każdy mało- i średniorolny bierze w jego realizacji udział. Przyjrzyjcie się liczbom, pamiętając, że wieś ma 150 gospodarstw.

350 uczestników konkursu czytelniczego, 110 kobiet w konkursie hodowlanym, powiększenie ilości krów o 100 sztuk, w szkoleniu rolniczym 176 osób, kontraktacja trzody chlewnej i cieląt rzeźnych na r. 1954 już wykonana w około 50 proc. itd. itd.

Wymowa tych liczb tkwi w tym, że dają one obraz powszechnego w Biegonicach podnoszenia produkcji rolnej. Mało powiedzieć powszechnego. Czytajcie uważnie — zobaczycie, że jest ono również u każdego rolnika wielostronne.

Powszechność i wielostronność zobowiązań produkcyjnych — cóż na to wpłynęło? Praca organizacji masowych, takich jak ZSCh (Koło Miczurinowców liczy dziś 80 członków), jak Koło Gospodyń (w konkursie hodowlanym 110 kobiet). Świetlica łączy działalność obu nurtów — w szkoleniu rolniczym (176 uczestników) rozszerza pęd do oświaty i kultury przez kurs historii, przez zespoły czytelnicze, (350 uczestników czyta i opracowuje podwójną ilość książek obowiązujących w konkursie) przez zespół teatralny, redakcję gazetki, gromadzką wystawę rolniczą. Kieruje aktywistów ze wszystkich zespołów do wsi okolicznych, aby tam nieśli pomoc w organizowaniu prac rolniczych i kulturalnych.

Porównajcie liczby a zobaczycie, że powszechne wydobywanie rezerw z gospodarki indywidualnej pokrywa się z powszechną aktywnością kulturalną. Każdy prawie chłop i chłopka w Biegonicach — to czytelnik literatury pięknej i fachowej, to uczestnik szkolenia rolniczego i uczestniczka konkursu hodowlanego.

Na ten związek zwracamy uwagę działaczom gospodarczym i kulturalnym. Ten związek zdecydował o powstaniu zobowiązań. Bez kultury bowiem nie ma organizacji. I wieś podobna do „worka kartofli", jak Marks nazwał wieś kapitalistyczną, byłaby niezdolna do podjęcia masowych i tak złożonych zobowiązań. Organizacje społeczne (ZSCh, Koło Gospodyń, Koło miczurinowskie) i świetlica podniosły kulturę całej wsi, pogłębiły wiedzę rolniczą, przygotowały grunt pod zadania praktyczne, które wymagają nowej, szczególnej organizacji.

Zespół aktywistów stworzył gromadzkie kierownictwo, które mogło zjednoczyć we wspólnym planie wszystkie potrzeby i zadania rolnicze i kulturalne wsi.

Toteż przeczytacie nie gołą zapowiedź zobowiązań, ale sprawozdanie z ich wykonania. Ta zorganizowana rządność całej gromady mówi najogólniej i najlepiej o kulturze Biegonic, o głęboko posuniętym procesie uspołecznienia się jej życia. O wielkim dobrowolnym zdyscyplinowaniu społecznym, o rosnącym poczuciu jedności interesów pracujących chłopów w gromadzie, o misji społecznej przodującej wsi, która niesie pomoc gospodarczą i kulturalną innym wsiom.

REDAKCJA

ZOBOWIĄZANIA naszej gromady Biegonice, powzięte na cześć II Zjazdu Partii, zostały dotąd zrealizowane w 90 proc., a mianowicie:

1) Z płatności podatku i obowiązkowych dostaw gromada wywiązała się i przystąpiła już do realizacji swych planów na r. 1954.

2) Kobiety pod kierownictwem świetlicy przystąpiły do konkursu hodowlanego w liczbie 57, obecnie jest ich 110. Spowodowało to głębokie zrozumienie i wzięcie sobie do serca Uchwały IX Plenum i Tez Przedzjazdowych.

Kobiety naszej gromady wraz ze swymi mężami zobowiązały się: powiększyć hodowlę o 69 cieląt, 96 krów, 94 świnie, 68 owiec, 1804 drobiu, 1518 królików; zakontraktować w 1954 r. 67 cieląt, 52 świnie, 539 drobiu i sprzedać do Gm. Spółdz. 80 tys. jaj. Zobowiązania te w 25 proc. już zostały zrealizowane.

3) Do IV etapu konkursu czytelniczego przystąpiło 350 osób podzielonych na grupy. Każdy kier. grupy przeczytał i opracował w świetlicy czy też u siebie w domu 5 książek konkursowych z uczestnikami i w dniu 31 stycznia 1953 r. po przeanalizowaniu dotychczas przeczytanych książek, kierownicy ze swymi zespołami postanowili opracować następne 5 książek, co jeszcze bardziej podniesie świadomość polityczną i kulturę naszej gromady.

4) W zobowiązaniu podniesienia liczebności krów w naszej gromadzie w r. 1954 z 600 sztuk do 700 sztuk, mamy już dorobek 20 krów czyli 620, z czego 5 sztuk zakupiliśmy z inwestycji pożyczki państwowej.

5) Plan kontraktacji nałożony na gromadę został wykonany w 120 proc.; kontraktację maku i trawy prowadziło Koło Miczurinowskie.

6) W kontraktacji trzody chlewnej i cieląt rzeźnych czy hodowlanych zrealizowaliśmy już 47 proc. planu na 1954 rok.

7) Droga do przystanku kolejowego w Biegonicach została już przeprowadzona z nadwyżką 261 dniówek, co dało 6 tysięcy zł. oszczędności. Meliorację w naszej gromadzie wykonaliśmy w 69 proc., resztę wykonamy na wiosnę.

8) Podatek gruntowy został uregulowany w 97 proc. Na pozostałe 3 proc. przypadły ulgi z tytułu klęsk.

9) W szkoleniu rolniczym, na którym frekwencja sięga przeciętnie 176 osób, do stycznia ub. r. przeprowadziliśmy 16 szkoleń. W październiku — z zakresu „dowody ewolucji z dziedziny systematyki zoologicznej i fizjologia roślin". W listopadzie — dzieła wybrane Iwana Miczurina, oczkowanie i krzyżowanie nowymi odmianami. W grudniu — Uchwała IX Plenum i Tezy Przedzjazdowe, agrobiologia, kierowanie zmiennością żywych organizmów, jak i dlaczego krzyżujemy rośliny i jak Łysenko odkrył prawa rozwoju roślin. W styczniu — dlaczego wysiewamy mieszanki wieloletnich traw i roślin motylkowych, jak znajomość agrobiologii pomaga w osiągnięciu wysokich plonów.

W styczniu i lutym szkolenie rolnicze dopełniliśmy historycznym. — Rozwój społeczeństwa ludzkiego, wspólnota pierwotna, powstanie i początki feudalizmu, walki klasowe, rozkład feudalizmu, narodziny kapitalizmu, zaostrzenie się walk klasowych po rewolucji francuskiej. Socjalizm naukowy — bronią proletariatu.

W lutym — hodowla. Pierwszy temat: — Jak uzyskać i powiększyć mioty macior i zimny chów cieląt. Prócz naszego świetlicowego szkolenia w styczniu skorzystaliśmy z 2 wykładów, (z filmem) wygłoszonych przez inż. mgr. przy Pow. R.N. ob. Szczynieckiego.

10) Narzędzia rolnicze zostały wyremontowane na 2 dni przed terminem, tj. do 26 grudnia 1953 roku; dziś czekają w pogotowiu na akcję wiosenną.

11) Założone Koło Przyjaźni Polsko - Radzieckiej liczące 30 osób, powiększyło się obecnie do 39 członków.

Do wykonania powyższych zobowiązań przyczynili się najwięcej Władysław Pietrzyk, sołtys gromady, Józef Wójcik, prezes ZSCh, Eugeniusz Kądziołka, Jan Banach, Stanisław Wójcik, Helena Wierna, Ludwik Potoniec, Elżbieta Szkaradek, Józef Bodziony, Jan Kądziołka i inni.

Dodatkowe zobowiązania

Na zebraniu świetlicowym połączonym z zebraniem gromadzkim, gdzie zostało poddane analizie wykonanie zobowiązań gromady ku uczczeniu II Zjazdu Partii — postanowiliśmy przyjąć dodatkowe zobowiązania treści następującej:

1) Listą pomocy sąsiedzkiej objąć starców i wdowy bez siły pociągowej na okres całoroczny, w wiosennej akcji siewnej, letniej — żniwno - omłotowej, jesiennej — wykopkowej i orek zimowych (i przesłać do zatwierdzenia Prezydium Gm. Rady Narodowej).

2) Jest w gromadzie 28 silosów glinobitych i 6 betonowych, w roku bież. zostanie dodatkowo wybudowanych 18, w tym 8 betonowych.

3) Podnoszący się w gromadzie wzrost czytelnictwa i kultury zobowiązuje zespół artystyczny i czytelniczy do obsłużenia 6 sąsiednich gromad występami i pogadankami.

4) 3 miczurinowcy, którzy posiadają do 1 ha ziemi i zostali w 1954 roku zwolnieni z obowiązkowych dostaw, postanowili zakontraktować po 1 tuczniku w br.

5) Zapotrzebowanie na maszyny z GOM i własne wykorzystać w 100 proc.

6) Bazę paszową (trawy i koniczynę) powiększyć o 11,6 ha w stosunku do roku 1953.

7) Raz w miesiącu przeprowadzić dezynfekcję zagród gospodarczych.

8) Miczurinowcy na swym poletku doświadczalnym uprawią 10 ar. lnu, 10 ar. konopi, 10 ar. maku i 0,5 ha owsiku, aby pokazać rolnikom wzbraniającym się w okolicy od kontraktacji tych roślin, że udadzą się one na naszej glebie.

Za powyższe zobowiązania czynimy odpowiedzialny aktyw gromadzki i zarząd świetlicy.

Wzywamy wszystkie gromady Gminy Hełmiec do współzawodnictwa w podejmowaniu podobnych zobowiązań...

Prezes ZSCh Sołtys grom.
Józef Wójcik Władysław Pietrzyk
Zarząd Świetlicy
Eugeniusz Kądziołka

Mal. Jan Dutkiewicz

Z GAZETKI GROMADZKIEJ

Głębokim tchem oddycha rolnik
Po rocznej pracy wsi Biegonic.
Myśl hoża robi wnet rachunek
Czy za nadwyżkę kupić bronę?

Liczy i liczy, woła żonę.
Duża nadwyżka, kupuj krowę,
Jeszcze zostanie... trza cementu,
Będzie silos na paszę bydlętom.

— Siedzieć doma? Nie! Pójdźmy
na szkolenie.
Da nam świetlica, da korzyści wiele.
Iwan Miczurin wie co nam potrzeba
Weźmie ślub z teorią chłopska gleba.

My za rządu szczerą opieką
Z robotnikami ręka w rękę!
Zadbamy, aby chleb był wszędzie,
To i towarów nam przybędzie.

Miczurinów stu mają Biegonice.
Stu kobietom w konkursie płoną lice.
Czyta czterystu. Erenburg? Jest
w planie.
I zespołu w gromadach piękne
granie.
I dla gminy sto odczytów w wiośnie.

EUGENIUSZ KĄDZIOŁKA
prezes koła miczurinowskiego
kierownik świetlicy w Biegonicach

Rys. J. Nykiel

JADWIGA WALERSKA

Z DZIEJÓW RODZINY

(fragment pamiętnika)

Drukujemy poniżej fragment pamiętnika Jadwigi Walerskiej. Fragment ten obejmuje lata przedwojenne, ukazując tragiczną dolę dzieci „wyrobnicy i najmity". Jadwiga Walerska po wojnie opuściła rodzinne strony w Kielecczyźnie i osiedliła się na Ziemiach Odzyskanych w Lubawce, pow. Kamienna Góra. Tutaj pracuje wraz z mężem. Jest członkiem Gminnej Rady Narodowej. Otrzymała dyplom uznania za pracę społeczną. Piętnastoletnia córka Jadwigi Walerskiej uczy się dobrze, dorastając szczęśliwie w warunkach i czasach, które położyły kres takiemu życiu, jakie musiały wieść przed wojną jej babka i matka.

Matka moja była córką biednej służącej, która pracowała w obowiązku u bogatego dziedzica. Zachciało mu się rozkoszy z młodą pracownicą — i z tego powodu matka moja przyszła na świat „bez ojca". A każdy może wiedzieć, co mogło użyć za czasów kapitalistycznych dziecko bez ojca. Kiedy wszystko wyszło na jaw, babka została usunięta z pracy, a że jej rodzice już nie żyli, więc poszła do brata. Brat jej nie przyjął, bo nie chciał się kompromitować.

Zlitowali się ludzie —i przyszła na świat moja mama w nędzy i ubóstwie. Tak samo od małego dziecka przyuczała się do pasienia krów u bogaczów — i tak jakoś w biedzie wychowała się na dorosłą pannę. Kiedy miała 19 lat, poznała ojca. Młodzi pokochali się wzajemnie. Kiedy jednak rodzice ojca dowiedzieli się kogo syn ich kocha, wyrzekli się go, bo któż to uważał wtedy pannę z takiego rodu za człowieka? Jego ojciec był jakimś tam ekonomem czy karbowym, toteż nie pozwolił brać dziewczyny, która jest z niewiadomego łoża, jak oni to nazywali. W dodatku moja matka nie miała żadnego majątku ani krowy, ani nawet pierzyny. A taki człowiek u nich nic nie był wart. Ale ojciec, choć stracił miejsce u swoich rodziców, ożenił się z matką.

Zaczęła się nowa nędza; pracy ani ojciec, ani matka nie mieli, bo pierw nikt nie dbał o człowieka. Człowiek był jak to narzędzie nie do użytku. I tak przeżyli miesiące poślubne w nędzy i głodzie, w wędrowaniu od jednych do drugich ludzi, aż nareszcie pan ekonom, tzn. ojciec ojca, zlitował się nad synem; bo kto to widział, żeby „jego syn" tak się poniewierał. Kazał więc matkę zostawić, a samemu przyjść: znajdzie się miejsce dla marnotrawnego syna.

Ojciec użył już dużo biedy, więc zgodził się. Zostawił mamę w odmiennym stanie i wrócił do swoich. Ale że ludzie podnieśli głos, wstydząc ekonoma, zatem po niejakimś czasie rodzice ojca musieli się zlitować i nad matką. Jakie tam życie prowadziła, każdy może się domyśleć, skoro była bez ojca, bez krowy i bez pierzyny. Ze łzami w oczach opowiadała mama, co tam użyła.

Przyszła w tej biedzie na świat moja najstarsza siostra. Znów był szum i niezadowolenie, że nie potrafiła syna urodzić, tylko do tego wszystkiego przyszła na świat córka.

Ojciec zaczął pracować we dworze jako syn rządcy. Już byłoby trochę lepiej, ale że rodzice mieszkali u ojców, więc zarobione pieniądze ojciec musiał oddawać swojej matce. Bo komu? „Dla niej?" — mówili. — „Przecież jak ci ona zacznie te dziwki rodzić, a gdy jeszcze będą takie, jak ona, to burdeli zabraknie!"

A cóż była winna mama, że w taki sposób przyszła na świat? Była człowiekiem bardzo pracowitym i umiała chować swoje córki.

Mama nie mogła się z tym pogodzić, żeby na łasce teściów być tak upodloną. Zaczęła pracować i wystarała się o malutki kącik. Zabrała tam męża. Zaczęli na swoim gospodarzyć. Wtedy to mama spodziewała się już drugiego dziecka. Bała się strasznie, żeby nie urodzić córki, bo chciała temu ciemnemu mężowi i jego rodzinie dogodzić Ale przeznaczenie chciało, że przyszła na świat znów córka.

Później jednak jakiś dziedzic parcelował ziemię. Ojciec, że był synem rządcy, kupił sześć morgów pola na spłaty. Pracowali więc i spłacali. W strasznej żyli nędzy. Zaczem te morgi spłacili przyszło im jeszcze na świat dziesięć córek i przy każdej mama przeżywała obelgi. Rodzice ojca buntowali. Uciekał on od mamy, szedł do rodziców, znów z powrotem wracał, aby się postarać o jeszcze jedną córkę. A gdy przychodziła na świat, znowu uciekał. Tak trwało dopóki żyli rodzice ojca. Dopiero gdy odeszli na wieczny spoczynek, mama odżyła, bo już nie miał kto ojca buntować.

Mama jeszcze dorodziła 3 córki i jednego syna, a ojciec stał się już lepszy — i jakoś nas chował; pomarło im jednak połowę dzieci, bo żyje nas tylko siedem sióstr. I ten wymarzony syn umarł. Gdy byłam mała, musiałam go kołysać. Bardzo się bałam, że w niebie wszyscy święci z nim nie wytrzymują, taki był beksa. Całe noce musieliśmy go z mamą kołysać na zmianę, ale on i tak krzyczał. Taki im się syn udał.

Tylko więc „dziurawe wojsko" zostało, jak ojciec mawiał.

Ojciec później zrobił się lepszy, pracowitszy i byłby gdzieś do pracy jeździł, ale pracy nigdzie nie było. Nauczył się ciesielki i chodził jako cieśla stawiać domy na placach u bogatych kupców. Trochę przy tym pracował, ale bardzo mało zarabiał.

Siostry, kiedy zaczęły podrastać, musiały iść na służbę, tak samo, jak mama. Mama wychowywała nas bardzo skromnie. Ojciec mało się nami interesował. Później, gdyśmy dorosły, każda starała się o pracę, aby rodzicom pomóc. I tak siostry szły pieszo w złym obuwiu do miasta szukać pracy po to tylko, by zarobić pieniądze i dać rodzicom, żeby mogli podatki opłacić i nająć bogatszych, żeby im pole zaorali. A były jeszcze małe dzieci; trzeba im było obuwia i jakiegoś okrycia. Wtedy było już trochę lżej.

Ojciec wreszcie poznał, że i córki się przydały. Ale mama z tej biedy i wyczerpania nie miała później wcale zdrowia. Chorowała na żołądek. Trzy lata leżała w łóżku i ja, jako najmłodsza córka, opiekowałam się chorą matką. Mama zawsze mówiła do mnie z płaczem: „Teraz mi jest z wami, moje dzieci, już lepiej, ale nie mam zdrowia i muszę tu leżeć, przykuta chorobą do łóżka".

Dwie siostry były w Warszawie; obie tam wyszły za mąż: jedna za szewca, druga za stolarza. Mama mówiła: „Żeby mnie się tak powodziło, jak im".

Jedna siostra znów wyszła za mąż w Będzinie, bo tam pracowała. Mąż jej był bardzo dobry; oboje szanowali się — i tym mama się najlepiej cieszyła. Zawsze mówiła: „Żebym ja znalazła takiego męża i tak dobrą rodzinę, to bym teraz nie chorowała". Dwie inne siostry wyszły za mąż na wsi za gospodarzy; tym wcale nie było czego zazdrościć. Jeden szwagier ożenił się z moją siostrą, choć ona nie miała morgów, a on był jedynak u ojca średniaka; stary nie chciał go znać. A kiedy umierał, wezwał go żeby przyszedł przepraszać, ale szwagier był uparty i nie poszedł. Ojciec więc swoją gospodarkę zapisał zupełnie obcemu, bo się jeszcze gorzej pogniewał, nie dosyć, iż się ożenił z taką biedotą, jeszcze taki honorowy; wyznaczył mu tylko spłaty, za które można było dwa metry żyta kupić. Ale jakoś żyli i bez tych morgów. Siostra handlowała czym popadło i dorobili się małej gospodarki; a dzieci mieli aż dziesięcioro.

Gdy poznałam mojego przyszłego męża, ojciec nie chciał się zgodzić, żebym wyszła za niego, bo on nic nie miał. Ojciec upatrzył syna jednego gospodarza; tłumaczył mi, że on ma osiem morgów, że jest jeden, że jego ojciec wszystko mu daje, że ja im się podobam, że nic od nas nie chcą. Ale ja znów nie chciałam, bo byłam biedna, jak mysz kościelna. „Pójdę do teściów bez niczego — myślałam — to będę miała od nich co słuchać". Miałam chłopca, który był taki biedny jak ja; nigdy — myślałam sobie — nie będziemy mieć do siebie pretensji. Ojciec przeklinał i mówił: „Zdechniesz z głodu, jak pies, bo on niezdatny do pracy, buty ma wyczyszczone i rączki wymyte". Taki się ojcu nie podobał; podobał mu się tamten, bo był brudny i nic od ojca nie chciał.

Jedna siostra wyszła za mąż za takiego gospodarza, co miał 20 morgów i 4-ro dzieci, był wdowcem. Rodzice ją zmusili: nic nie masz, a tam gotowy kawałek chleba! Nie chciała, płakała, bo on miał 50 lat, a ona 18-cie. Ale nic nie pomogło. Usłuchała i wyszła za niego z bólem serca. Co znowu z tego wyszło? Jemu zdawało się, że powinien choć krowę dostać na taki majątek jaki on

(Dokończenie na str. 4)

PAWEŁ MAKARUK

CZERPIEMY Z WŁASNEJ GLEBY...

KSIĄŻKA dopomagała nam do postawienia pierwszego kroku w pracy kulturalno-oświatowej, a jednocześnie była rozrywką i nie nużyła czytelników.

Gorzej było z imprezami artystycznymi. Początkowo spotykałem się z powiedzeniem, że nasze sztuki współczesne nie dają zadowolenia, słuchacze mówili, że wolą jasełka — choć tłumaczyliśmy, że współczesne sztuki związane są z życiem dzisiejszego człowieka, że go kształcą. Dopiero, kiedy wystawiliśmy sztukę „Zioła i ziółka" (nawiązuje ona do akcji skupu) — zdrowy humor i cięta satyra zrobiły swoje. Graliśmy ją we wszystkich gromadach naszej gminy. Odtąd i do zespołu artystycznego zaczęto się zgłaszać gremialnie, a życie świetlicowe zaciekawiło mieszkańców.

Mamy już teraz radiowęzły gromadzkie, 5 zespołów artystycznych, chór, 2 zespoły taneczne i jeden papieroplastyczny. Świetlica nadaje przez radiowęzeł lokalne audycje, opracowane przez własny zespół redakcyjny. Co w nich zamieszczamy? Popularyzujemy osiągnięcia przodowników pracy — spółdzielców, informujemy mieszkańców gminy o wszelkich zagadnieniach, dotyczących życia wsi szczecińskiej, zapoznajemy z osiągnięciami kulturalno-oświatowymi naszej świetlicy. Ale środki te nie objęły jeszcze pracy ideologicznej w dostatecznym stopniu. Postanowiliśmy więc robić gazetkę ścienną dla gminy. Gazetka ma cztery działy. Między innymi tzw. „ośla łączkę", która najbardziej denerwuje tych, co się tam znaleźli. W tym dziale wykazujemy wszystkie niedociągnięcia w spółdzielniach, krytykujemy tych, którzy źle rozumieją gospodarczą i kulturalną pracę.

IX Plenum stawia przed świetlicami ogromne zadania w zakresie rozwoju rolnictwa. Świetlice muszą pomóc rolnictwu, żeby dorównało kroku naszym robotnikom. Świetlice muszą przygotować mieszkańców wsi do tego, czego uczy Miczurin i Łysenko, do materialistycznego poglądu na świat, do kolektywnej gospodarki i mechanizacji rolnictwa. W tej pracy dopomógł nam POM. Przysłał agronoma, który prowadzi szkolenie zawodowe; dało już ono rezultaty w akcji siewnej: spółdzielcy zastosowali nowoczesną mechanizację rolnictwa.

Praca kulturalno-oświatowa pozwala na bardzo wielką różnorodność form, ale choć staramy się o różnorodność form, spotykamy się jeszcze z zarzutem co do poziomu pracy. Nasze pieśni nie podobają się, bo brak im ciepła i piękna ludowego, właściwego dla każdej prowincji, w której utrwala się życie chłopa. Pieśni pisane przez literatów są często za trudne, przez co traci na wartości ich treść. Rozprowadziliśmy ankietę po wszystkich wsiach, pytając jakie znają piosenki ludowe i tańce. Teraz ludzie starzy, którzy dużo piosenek umieją, śpiewają nam, a my staramy się to wszystko przenieść na naszą scenę i przez zespół świetlicowy na gromady. Robimy wiele dla pogłębienia ideowej treści naszego repertuaru, zespoły przygotowują się do najbardziej ważnego zagadnienia, jakim jest II zjazd Partii i 10-lecie Polski Ludowej. Opracowujemy montaż sceniczny na temat „CO DAŁO 10 LAT POLSKI LUDOWEJ NASZEJ GMINIE". Z tą próbą chcielibyśmy dojść do eliminacji powiatowych.

Przy układaniu planu prac naszej świetlicy prosiliśmy o pomoc zarząd spółdzielni produkcyjnej, Radę Narodową i sekretarza Partii, przy takim kolektywie plan nie jest oderwany od konkretnych potrzeb i spraw gminy. Wiąże się ze wszystkimi ważniejszymi pracami na terenie gminy.

Błędna jest zasada, że w świetlicy pracować ma wyłącznie młodzież. W pracy świetlicowej musi brać udział cały aktyw społeczny, zarząd spółdzielni produkcyjnej i wszyscy spółdzielcy. Wszyscy muszą interesować się świetlicą i jej działalnością. My jeszcze nie potrafiliśmy w dostatecznym stopniu zainteresować wszystkich spółdzielców pracą świetlicy; są jeszcze w naszym środowisku ludzie, którzy poza własnym zadaniem i zakresem nie widzą innych. W Gminnej Radzie Narodowej byli tacy, którzy nie wiedzieli nawet, że istnieje rada kulturalno-oświatowa czy czytelnicza, która winna rozpatrywać dobór książek. Aleśmy tę obojętność przełamali. Pomogła nam Woj. Rada Narodowa w Szczecinie. Urządziła kursokonferencję, która nas i Gminną Radę przygotowała do nowych zadań i nowych metod pracy.

Wzywam kierowników świetlic do podzielenia się doświadczeniami — jakie stosują formy i metody na obecnym etapie pracy świetlicowej w swoim środowisku, jakie stawiają sobie zadania i w jakim stopniu ich plan pracy uwzględnia konkretne potrzeby miejscowe.

Paweł Makaruk
kierownik świetlicy gminnej
Bolewiec pow. Myślibórz

TADEUSZ JASIŃSKI

By jutro stało się bliższe...

Szybki rozwój spółdzielczości produkcyjnej w Polsce ma swoje mocne powiązania społeczne i polityczne.

Chłop polski wstępuje do spółdzielni pomny swej ciężkiej doli, która była jego udziałem przed 1944 rokiem, pomny swoich krzywd i poniewierki, pragnąc „by upiorna przeszłość nie znalazła już ani ścieżeczki powrotu". Zapisuje się do spółdzielni natchniony sukcesami gospodarki kołchozowej Związku Radzieckiego, pragnąc na niej się wzorować i jej dorównać. Chłop polski staje się wreszcie spółdzielcą, widząc na własne oczy tysiące dobrze gospodarujących wsi uspołecznionych, ich zasobność techniczną i materialną, ich szerokie możliwości w stworzeniu człowiekowi dobrych warunków bytowych i kulturalnych.

Są to 3 główne motory zbliżające chłopa do spółdzielni, sploty argumentów politycznych i ekonomicznych: pozwalają mu one przekształcić w sobie duszę dorobkiewicza na duszę społecznika, przyspieszając rozwój jego świadomości politycznej.

Rozumienie tych powiązań znalazło swój wyraz w treści i konstrukcji nowej książki Władysława Machejka pt. „Głęboka orka"*).

W pierwszej części tego zbioru reportaży autor „Żywego ognia" i „Serca" nie odszedł od tematyki międzywojennej i okupacyjnej. „Lata trzydzieste" — pierwsza pozycja tej ciekawej książki — to wstrząsający zbiór faktów, przypominających ponurą przeszłość naszej wsi — wprawdzie jeszcze niedaleką, ale zatartą w świadomości nową sytuacją materialną i polityczną chłopa w Polsce Ludowej. Sprawy dawne przewijają się zresztą stale również w reportażach, mówiących już o nowym, radośniejszym, choć pełnym trudności i konfliktów życiu naszej wsi indywidualnej i spółdzielczej oraz w ostatniej części — pokazującej życie radzieckich kołchoźników. Chwilami zdaje się, że ta część „historyczna" przyłącza całość, jednak po przeczytaniu całości, obiektywna wymowa zbioru każe uznać te wątki za potrzebne i konieczne, bowiem przeciwstawiają one wyraźnie n o w e staremu, obecną sytuację ekonomiczną i polityczną chłopa — dawnej, nowoczesną gospodarkę spółdzielczą — pozostającej za nią w tyle indywidualnej.

Ta metoda przeciwstawiania sobie stosunków społecznych dwu różnych epok, nie ostania jednak konfliktów społecznych lat minionych, które występują tym jaskrawiej, im bardziej wzmaga się ofensywa n o w e g o na naszą wieś. Mimo odejścia dziedziców pozostał przecież w gromadzie kułak Śpieszny: mimo nowego ustroju istnieją jeszcze często zależni od niego Igielscy, Piechniccy, Marczykowie. Śpieszny będzie dotąd nimi „władał", dopóki w „Wiosce jednej" nie powstanie spółdzielnia produkcyjna.

To zwycięstwo biedniaków i średniaków, zwycięstwo spółdzielców (waganowickich) najlepiej widoczne jest w reportażach „Wolni gospodarze" i „W górę". A przecież jest ono niełatwe. Dlatego właśnie, że autor pokazuje całe wewnętrzne rozdarcie chłopa indywidualnego („Kto winien — żony"?), osiągnięcia, błędy i trudności istniejących już i umacniających się spółdzielni — książka jest przekonująca i na pewno pomoże w podjęciu decyzji niejednemu rolnikowi.

Trzeba obiektywnie stwierdzić, że autor pisząc „Głęboką orkę" nie stawiał sobie za cel dać czytelnikowi dzieło artystycznie doskonałe. Machejek rozmawia ze swoim czytelnikiem językiem faktów, poddaje mu argumenty „za" na jego „przeciw". W części ukazującej życie kołchoźników radzieckich rzutuje jakby w przyszłość drogę naszej wsi spółdzielczej, ukazuje problemy nie rozwiązane u nas jeszcze w pełni, ale już istniejące. Najważniejsze jest jednak w tej książce to, że w rozmowach ze swoim czytelnikiem autor jest zwycięzcą, ukazuje bowiem przekrój wsi polskiej, rosyjskiej przedrewolucyjnej i radzieckiej na przestrzeni całego półwiecza, z czego w sumie narzuca się nieodparcie wniosek: miejsce chłopa i jego rodziny jest jedynie w spółdzielni produkcyjnej.

Tadeusz Jasiński

*) Władysław Machejek — „Głęboka orka" — zbiór reportaży literackich. Str. 156. Cena 4 zł. Wydawnictwo Literackie, Kraków.

Z dziejów rodziny

(dokończenie ze str. 3)

posiadał, a ojciec krowy nie dał. Nie mógł. Mleko było u nas całą okrasą i do tego ojciec krową robił w polu. Jakże było dać ostatnią krowinę? Więc wdowiec siostrę bił i od czasu do czasu wyganiał po krowę. Ale i na to rodzice nie zmiękli. Przyszła, posiedziała kilka dni. A że dzieci jego potrzebowały opieki, musiał zabrać ją znów, aby dzieci oprała, odwszyła — dopóki znów o co nie bądź nie przyszło do sprzeczki i dopóki znów nie musiała iść do ojca. Takie miała życie, aż do śmierci męża. Miała też co rok swoje dziecko tak, że swoich miała sześcioro i tamtych troje—razem dziewięcioro. Cóż ona biedna użyła? Zawsze płakała i narzekała na rodziców. Później znów miała przykrości, gdy te dzieci odchowała. Miały pretensje, że ojciec się ożenił, że przybyło dzieci i gospodarka będzie podzielona kiedyś aż na tyle części.

Nie usłuchałam ojca, aby wyjść za bogatszego gospodarza. Wyszłam za człowieka, który był tak samo biedny, jak ja, a nawet jeszcze biedniejszy.

W 1937 r. wyjechaliśmy do miasta szukać pracy, bo w domu już nie było dla mnie miejsca. „Pobrali się, niech żyją" — mówił ojciec — „Ja nie chcę o niczym wiedzieć. Niech sobie radzą".

Wyjechaliśmy z mężem do Kielc. Jak się okazało, mąż mój był bardzo pracowity, chociaż nie był zagnojony. Ale co z tego, że on był pracowity, gdy pracy nie miał? Pracował na sezonowej robocie. Kiedy chcieli, mogli zwolnić pracownika, choćby był najlepszy. W roku 1937 pracował 4 miesiące. Jak można było przeżyć dwanaście miesięcy za to, co on zarobił w ciągu czterech? Było nam bardzo ciężko. Zaszłam w ciążę; spodziewałam się rozwiązania. I jak każda kobieta, która spodziewa się zostać matką, chciałam kupić niemowlęciu wyprawkę. Nie mogłam, bo nie miałam na to pieniędzy. Widziałam różne owoce nawet i zagraniczne — i ślinka mi leciała, gdy sobie popatrzyłam na wystawę. Ale cóż: kupić nie mogłam. Wszystkiego było pełno w sklepach; rynki były po brzegi zawalone różnymi rzeczami. Ale ja — i tysiące takich jak ja — nic nie mogło sobie kupić.

Przeżyłam dużo biedy i niedostatku. Takich, jak ja było tysiące.

Jadwiga Walerska

CZESŁAW MICHNIAK

K L A R N E T

(o p o w i a d a n i e)

Ciosek zbliżył się do okna, odsuwając pękaty kaktus, który zasłaniał widok. Na drodze stała gruda, poprzetykana tu i ówdzie srebrnymi pasemkami szronu. Po lodowej tafli rzeczki, która zgłębnie przemykała się między wierzbami, ślizgały się „na kantach" mikrusy szkolne. „Nie ma tam mojej Zośki?" Dotknął czołem zimnej szyby, którą lizał mróz. Wieś leżała w niegłębokiej kotlince. Ku murowanym w większości domom opadały w jednym miejscu stromo, w innych łagodnie stoki, obłożone hojnie rędziną. U stóp wzgórza, na które wspinała się polna droga, bielił się piętrowy budynek mleczarni. Stąd wchodziło się po betonowych stopniach na szczyt wzniesienia, którego ukoronowaniem była szkoła. Z prawa kościołek sąsiadował z domem parafialnym, w którym mieszkał proboszcz i organista, a także mieściła się duża, jedyna we wsi sala. Urządzano w niej od czasu do czasu zabawy, odbywały się też raz w tygodniu — co środę wieczorem — próby orkiestry parafialnej, występującej zwykle pod batutą organisty, zażywnego staruszka.

— „Póki jasno, pogram troszkę".— Ruszył żwawo w stronę szafy, której wierzch stykał się niemal z niskim pułapem izby.

Z klarnetem zawarł znajomość jeszcze przed wojną, w wojsku. Potem grywał w orkiestrze ochotniczej straży pożarnej w Stopnicy, produkującej się w czasie zabaw i państwowotwórczych akademii 19 marca i 11 listopada, organizowanych przez „Strzelca". Podczas wojny orkiestra rozleciała się, później — po wyzwoleniu ujął inicjatywę w swoje ręce proboszcz. Pościągał skądciś instrumenty, ba postarał się nawet o bęben z talerzami, pulpity i nuty. Jednym z tych instrumentów był klarnet, który proboszcz Ciosikowi pożyczył do domu. Grywano głównie pieśni kościelne, gdyż orkiestra obsługiwała przede wszystkim procesje i uroczyste sumy — zwłaszcza w czasie wizytacji biskupa, które wypadały dwa razy do roku. Nie gardzono też marszem żałobnym „W mogile ciemnej", którym uświetniano pogrzeby pierwszej klasy. No i jeszcze rżnięto od ucha do tańca na weselach, chrzcinach i tym podobnych uroczystościach u takich znamienitych gospodarzy, jak Ostachowski — właściciel 14 hektarów i 140 uli. Młody Ostachowski, strojący tajemnicze miny, zawsze z nowinkami w zanadrzu — obejmował w orkiestrze puzon.

Co tu dużo mówić: Ciosek miał kręcka na punkcie muzyki. Zupełnie tak, jak Białek — sąsiad, który wycinał ciekawsze artykuły z gazet, tygodników i składał jeden na drugi — jak głosiła fama — w kuferku. Pisał podobnież powieść. Albo Sierak, który w zimowe wieczory dłubał kozikiem w drzewie, albo stary Brzęczek, który umiał na pamięć trzy księgi z „Pana Tadeusza" a teraz uczył się Broniewskiego. Gdyby ktoś zaproponował: słuchaj no Ciosek, ciśnij w kąt tę piszczałkę i chodź lepiej na wódkę, czy piwo, zabawić się — nie zgodziłby się za nic. Jedyną więc jego rozrywką po pracy było, mówiąc stylem referenta kultury z Prezydium PRN — „nawiązywanie ścisłego kontaktu ze sztuką".

Do izby zajrzało słońce, prześliznęło się bladym promykiem po kaktusie, przejrzało w stojącej na piecu butelce z denaturatem i znikło.

„Pogram z godzinkę", rozmawiał ze sobą podchodząc do szafy, w której przechowywał klarnet, jak w kasie ogniotrwałej. Jeszcze raz rzucił wzrokiem za okno. Pod mleczarnią stał samochód ciężarowy ze Stopnicy obładowany bańkami z mlekiem. Zbliżył się doń kierownik tej pożytecznej instytucji, kędzierzawy chłopak w cyklistówce na bakier, z rękami w kieszeniach. Nazywał się Sitek. W tej chwili chyba gwizdał, gdyż usta złożył w ciup i dymił parą, jak lokomotywka.

Cicho, delikatnie otworzył szafę. Drzwi uchyliły się miękko. Zawalona była garderobą. Na najwyższej półce leżało czarne, podłużne pudełko, obok nutnik w ciemnej oprawie. Ciosek był niski, stanął więc na krześle i z lekkim stęknięciem dobył wreszcie futerał, a następnie zeszyt. Nawet te przygotowawcze czynności sprawiały mu nie lada przyjemność. Podniósł wieko pudełka, instrument leżał na atłasowym spodzie, świecąc metalem klapek. Za chwilę dmuchnął w ustnik. Klarnet odpowiedział beknięciem. Zadowolony podniósł głowę, wzrok jego napotkał smukłą figurkę proboszcza, idącego drogą ku plebanii. Ksiądz szedł lekko i zwinnie, jak kot, unosząc sutannę, jakby się obawiał, że zawala ją błotem, chociaż zamarzło na kamień. W tej samej chwili ze szkoły wyszedł Kwiecień, przewodnik drużyny harcerskiej, wysoki blondynek i Szymocha, aktywista Komitetu Obrońców Pokoju. „Ocho, nasi działacze" — stwierdził Ciosek. Tymczasem proboszcz, widząc zbliżających się, skręcił gwałtownie w bok na wąską ścieżynkę, która ginęła gdzieś pomiędzy drzewami księżowskiego ogrodu.

— No, no — kiwnął głową Ciosek —ale się dobrodziej sierdzi.

Zaczął przebierać palcami po klapkach. Wytarł rękawem ustnik i znowu dmuchnął.

Jednocześnie z odgłosem instrumentu rozległ się pod oknami warkot motoru. Ciężarówka jechała, dzwoniąc pustymi bańkami. Samochód kołysał się, jak okręt na wzburzonym morzu. Płócienna buda podrygiwała, szorując o nagie gałęzie drzew.

Zagrał na pamięć gamę. „Mi" i „fa" wypadły trochę fałszywie, więc powtórzył ćwiczenie. Teraz sięgnął po zeszyt z nutami. Wypadła z niego kartka papieru, zapisana zielonym atramentem. Gdyby nie wielki, drukowanymi literami nagryzmolony tytuł, przeszedłby nad tym wydarzeniem do porządku dziennego. Tytuł głosił: **List do św. Jana.** Podszedł z kartką do okna, ku światłu. Czytał ściszając stopniowo głos:

„...i przyjdzie dzień, że wybawiciel, opuściwszy swoją kryjówkę, wynijdzie do wsi i miast i przeszedłszy przez wielką wodę posypie wam głowy popiołem. I wszystko stanie się popiołem. I na popiołach wyrosną jeszcze piękniejsze niż dzisiaj kwiaty. Dla naszej ziemi nastanie wieczna wiosna..."

U dołu maczkiem dopisano całkiem już prozaiczną instrukcję: Nie niszcz, przepisz na pięciu kartkach i podaj dalej. Czeka cię za to szczęście na ziemi i wieczne zbawienie.

Mimo woli wyjrzał przez okno, ale droga była pusta, tylko kierownik mleczarni z rękami w kieszeniach tkwił przy wielkiej metalowej kadzi do fabrykacji sera, którą dwaj robotnicy obtłukiwali ostrożnie młotkami.

Nagle drzwi otwarły się z trzaskiem i do izby wbiegła dziewczynka, zaczerwieniona od mrozu, otulona chustką z płóciennąą teczką w rękach. Szybko schował kartkę do kieszeni.

— Zawsze tak wchodzisz, jakby się paliło — rzekł ze złością. Wziął do ręki klarnet, oglądając uważnie, jakby go dopiero dziś po raz pierwszy ujrzał. Zamknął nuty.

Dziewczynka zrzuciła z siebie kożuszek. Ubrana była w szary mundurek harcerski, pod szyją plonął krawat. Z rozmachem wysypała zawartość torby na stół. Były tam kredki, pióro, gumka, kilka zeszytów i dwie książki.

— Będziesz odrabiać lekcje? — spytał z niepokojem.

— Tak, mam wypracowanie z polskiego — odpowiedziała sadowiąc się przy stole.

— No to pisz — ścisnął w rękach kartkę.

— Tatuś grał? — zagadnęła, otwierając zeszyt.

— Grałem trochę...

— Mama jeszcze nie wróciła? — umoczyła z powagą pióro. „Z i e l o n y atrament", spojrzał z przerażeniem na kałamarz. Ścięło go lodem. Zmieszany odwrócił się plecami.

— Mama? — powtórzył bezsensownie. Zamiast odpowiedzi rzucił nerwowo: — Skąd masz ten zielony atrament?

— Kupiłam w GS-ie — odparła nieco zdziwiona — niebieskiego zabrakło... Tatuś już nie będzie grał? — spytała znowu, stawiając na marginesie zeszytu datę.

— Ojej, kleks — wykrzyknęła, sięgając po bibułę. Ojciec zajrzał jej przez ramię. Plamka to głupstwo, ale papier! Taki sam „w jedną linię" dusił w garści.

— Wyschnie i wymażę gumką — obwieściła wesoło, zabierając się do pisania. Niepostrzeżony stanął z tyłu. Naraz drgnął, jakby prąd elektryczny poderwał go z miejsca a potem przygwoździł do ziemi.

Dziewczynka stawiała pierwsze litery: „L i s t"...

Zaczął przechadzać się po izbie, od szafy do pieca: piec — szafa, szafa — piec...

Znowu stanął cichaczem za plecami córki. Zerknął z lękiem na papier.

...do drogiej przyjaciółki w Korei... i życzę ci, kochana moja, żeby u was był pokój i żeby twój tatuś mógł grać na klarnecie..."

Ręka ściskająca kartkę zadrżała. ...Wzruszenie ogromne zaparło dech. Wreszcie westchnął głęboko. Zrobił ruch, jakby chciał ją pogłaskać po ciemnych włosach. Zawiązane w dwa grube warkocze spinały metalowe, zielone żabki. Przejechał tylko ręką w powietrzu.

Za oknami turkotała furmanka. To Chyliński wracał z targu. Konie dymiły jak kominy.

Spojrzał na stół. Klarnet, wąska rura z bukowego drzewa, leżał milczący. Klapki straciły połysk, zmatowiały. Obok czernił się posępnie futerał wyścielany atłasem.

— Święty Jan — mruknął — jaki tam święty... Klarnetem oczu mi nie zamydlą — wyprostował się, gniotąc w kieszeni kuleczkę z papieru.

— Wiesz co, Zośka? — zwrócił się nagle do dziecka.

— Co, tatusiu?

— Pójdziesz na plebanię... Jeszcze dziś, zaraz — podniósł głos.

— Tak, tatusiu...

— Do księdza proboszcza...

— Tak, tatusiu...

— I oddasz mu to — wziął klarnet, włożył do pudełka i podał dziecku.

— Klarnet? Już nie będziesz grał? — zdziwienie, prawie rozpacz wydłużyła buzię

— Rób, co ci mówię, słyszysz?!...

Dziewczynka owinęła się chustką i wyszła. Ciosek zatrzymał się przy stole, pochylił nad okrągłym, dziecinnym pismem...

Czesław Michniak

TADEUSZ GICGER

W P O D R Ó Ż Y

Józefowi Wydrzyńskiemu
ze wsi Wilkołek w pow. sieradzkim

Wagon trząsł i litery w książce
dziwaczny wyczyniały taniec —
więc je schwytały palce szorstkie,
po zdaniu odsłaniały zdanie.

Twarz dłutem wyciosana chłopskim
nad kartą się chyliła miękko.
Półkolem odbiegały wioski,
lecz czytający był daleko.

Tam jego oczy, już nie młode,
śledziły ludzkie dzieje chciwie;
przez lata snadź tych dziejów głodne,
bo tak w czytaniu zapalczywe,

i takie żądne spraw i zdarzeń
biegnących ponad własnym życiem,
a które tego, o czym marzy
są pomnożeniem i — odbiciem.

Tak czyta tylko ten, kto tęsknił
do książki długo i daremnie.
Przyszła jak wiatr wiosenny, wczesny
o porze późnej już, jesiennej.

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

Zespoły liceałne to wielka rezerwa

Zobaczyłem ich w komplecie na pierwszym apelu. Około 170 uczniów i uczennic łódzkich szkół zawodowych: metalowych, elektrycznych, samochodowych, włókienniczych, techników, finansowych, chemicznych i innych.

Na obóz do Szczebrzeszyna przyjechali po to, aby występami artystycznymi werbować młodzież wsi i miasteczek powiatu zamojskiego i biłgorajskiego (o znacznych rezerwach ludzkich) do zasadniczych szkół zawodowych.

✣

Chór składał się z około osiemdziesięciu osób. Ćwiczył piosenki: 1) regionalne — łódzkie: („Gdy mój Jasionio", w wersji łowickiej, „Wyjrzyj ino..." „Spod Mazowa" — łęczyckie) 2) masowe: „O tłustym Marcinie", „Najpiękniejszy sen" — Nowej Huce, „Pieśń o Bierucie" i in. 3) radzieckie: „Chatka biała", „Czastuszki uralskie", „Ruszamy w drogę", „Marsz lotników i in. 4) młodzieżowe, oraz z własnego repertuaru szkół zawodowych („W jednym szeregu" i in.).

Kierownik i dyrygent zespołu Andrzej Hundział zbierał również regionalne piosenki lubelskie („Niedaleko Zemborzyce Wrotkowa"), aby je włączyć doraźnie do programu. Niektóre numery śpiewał cały chór, inne, o charakterze bardziej kameralnym, wyłoniony specjalnie żeński zespół wokalny, składający się z 9—14 dziewcząt.

Drugim, dobrze pracującym zespołem był balet, przygotował: krakowiaka, na cztery pary i na osiem, ukraińską „ulituszkę" — korowód dziewczęcy, oraz oberek na osiem par.

Zespół muzyczny, około dwudziestu osób. Instrumenty nowiutkie — akordeony, skrzypce, mandoliny, gitary i kontrabas. Był też zespół recytatorsko - teatralny (recytacje indywidualne, zbiorowe i konferansjerka).

Konferansjerka miała za zadanie zachęcić do szkolnictwa zawodowego chłopców i dziewczęta, kończących w wioskach i miasteczkach szkoły podstawowe. Zwracała się do młodzieży ale również do starego pokolenia, aby przekonać rodziców.

Pierwszy występ przypadł na dużą ale niebogatą wieś Krasnobród, w powiecie zamojskim. Licho wyposażoną salę drewnianej remizy strażackiej wypełnił tłum, zwarta ciżba stała w przejściach. Oklaskiwano krakowiaki i oberki. Podobał się ukraiński korowód. Rozjaśniały się twarze chłopów na widok barwnych, łowickich i krakowskich strojów. Podchwytywano refreny niektórych piosenek...

W Potoczku przedstawienie pod gołym niebem. Z początku publiczności było niewiele, bo „nie wierzyli, że ktoś przyjedzie. Obiecywały nieraz „Artosy" a nikt się nie zjawił"...

Ale po pierwszych akordach muzyki sypnęli się ludzie z domów. Nadchodził wieczór. Widowisko należało skrócić, lecz chłopi zaprotestowali.

Miejscowość Zwierzyniec — to prawdziwa oaza zieleni. Jest tu duży tartak i PGR; wszystko to należało kiedyś do obszarnika. W pięknym gmachu, wzorowanym na renesansowych budowlach Zamościa, mieścił się zarząd dóbr — ordynacji hrabiów Zamojskich. Obecnie — szkoła zawodowa.

W tym to Zwierzyńcu zespół MOPP dał dwa występy. Pierwszy dla młodzieży i dzieci, drugi dla robotników z tartaku i PGR. Podczas drugiego występu, kiedy zgasło na sali światło, publiczność (sala była nabita po brzegi) czekała cierpliwie po ciemku, nie myśląc się rozchodzić.

Wreszcie konferansjer: „Z przyczyn niezależnych jesteśmy zmuszeni..."

— Przerywać w połowie?... Że światła nie ma? Bez światła!

Wnet pojawiły się świece i kilka naftowych lamp. Przy tym archaicznym oświetleniu chłopcy dodali ognia w oberku, musieli bisować.

W Radecznicy istnieje Klasztor oo. Franciszkanów. Przed dwoma laty wykryto w nim ośrodek bandy dywersyjno - rabunkowej. Sam przeor, o. Antoni Radecznicki — był jej hersztem. Sekretarz miejscowej GRN oświadczył organizatorowi zespołu:

— Nie opłaci się wam przyjeżdżać. Kto tu przyjdzie na występ? Chłopi nie chcą płacić podatków i odstawiać. Po co takim występy?

— Tak? Postanowiliśmy przybyć.

Była niedziela. W pięknym parku przyklasztornym, pamiętającym zapewne czasy kanclerza Jana Zamojskiego czerniawa ludu. Odpust, czy co? Pod wiekowymi dębami chłopskie wozy wymoszczone słomą. To chłopi pozjeżdżali się z dziesiątych wsi na nasz występ.

— Reakcja jest? Tak. Ale my tu porządne średniaki — tłumaczył jeden z pytanych i dodał z frantowskim uśmiechem:

— „Reakcja" to wyście, co tą kulturą dyrygują, że sobie dopiero teraz o Radecznicy przypomnieli.

Przed Radecznicą był Sułów, zwykła wieś. Zespół przemęczony już dalekim wyjazdem do Lublina chciał minąć Sułów. A tam przed remizą strażacką, przy drodze gromadą ludzi, jak gdyby podejrzewała, że ich możemy ominąć.

Mimo przemęczenia w przeciągu kilkunastu minut zespół ustawił się pod ścianą remizy, a publiczność amfiteatralnie na zboczu rozpadliny; niektórzy nawet powlazili na dach remizy.

Zamiast zaplanowanych 7 występów, zespół MOPP dał ich 20. 30 000 widzów, jak na objazd zespołu amatorskiego należy uznać za cyfrę imponującą.

Myślę, że szkolnictwo zawodowe, powołując do życia ośrodki prac pozalekcyjnych, dało innym przykład godny naśladowania. Takie szkolne ekipy artystyczne (nawet o wiele mniejsze liczebnie), mogłyby wiele pomóc w wykonywaniu konkretnych zadań, np. w czasie akcji skupu, w agitacji za spółdzielczością produkcyjną itp.

Otwarte zagadnienie stanowi tu sprawa środków, kadr instruktorskich, jak również niemniej ważna — odpowiedniego repertuaru. Ludziom z inicjatywą, entuzjastom i organizatorom roboty kulturalnej w terenie, nauczycielom, młodzieżowcom, wreszcie działaczom oświatowym z prezydiów RN, należy wskazać na młodzież szkolną, zorganizowaną w zespołach artystycznych, jako na źródło ogromnych rezerw w robocie świetlicowej. Licząc wakacje i ferie świąteczne, dysponuje ona prawie trzymiesięcznym okresem, wolnym od lekcji. I właśnie w takich wolnych okresach armia artystów, rekrutujących się spośród uczniów szkół zawodowych, ogólnokształcących i artystycznych, mogłaby wyruszać na mało uczęszczane szlaki. Docierać wszędzie tam, gdzie nie dotarły jeszcze ekipy i zespoły zawodowe.

Międzyszkolne ośrodki prac pozalekcyjnych, to dobry pomysł. Na razie powstają tylko w miastach wojewódzkich i tylko przy szkołach zawodowych.

Trudno wymagać dobrego zespołu od każdej szkoły. Ale niechby taki wzorowy, międzyszkolny zespół istniał bodaj jeden w każdym mieście powiatowym, to już byłoby dużo.

Bronisław Checiński

* TEZY * PRZEDZJAZDOWE

Rzeczy nierozdzielne

Gdy przed rokiem zbierał się w Warszawie Pierwszy Krajowy Zjazd Spółdzielczości Produkcyjnej, co siódma wieś w Polsce posiadała gospodarstwo spółdzielcze. Dziś spółdzielnia znajduje się w co piątej wsi, a ponad 3.500 komitetów założycielskich pozwala przypuszczać, że już w niedługim czasie będzie tak w co czwartej, a może nawet co trzeciej wsi. W ciągu tego roku spółdzielnie wzrosły nie tylko pod względem ilości, ale przede wszystkim umocniły się organizacyjnie i gospodarczo, oczyściły z zauszników kułackich i elementów przypadkowych, osiągnęły dalszy wzrost zamożności i dobrobytu swych członków.

Ciągle jednak niedostateczny jest wzrost poszczególnych spółdzielni, zbyt mała jest więź między nimi a resztą wsi indywidualnej. Zdarzają się jeszcze wypadki, że spółdzielcy, dumni z osiągniętych wyników, odgradzają się od gospodarzy indywidualnych, zaczynają się uważać za coś od nich innego, lepszego. Zamiast łączności, przyciągania i uświadamiania chłopów, w konsekwencji — dalszego rozwijania spółdzielni — powstają zadrażnienia, a linia podziału najniesłuszniej przebiegać zaczyna między spółdzielcami a „indywidualnymi".

Bywa i gorzej. Spółdzielnia utrzymuje wprawdzie łączność z poszczególnymi gospodarzami, ale jakiż jest jej charakter? Spółdzielnia ma np. sporo ziemi, ale ludzi do roboty nie starcza. Cóż więc robi? Zwraca się do biedniaków. Nie żeby im ukazać perspektywy lepszego życia, zapropagować do wstąpienia. Nie. Proponuje im — jak to było w pow. chełmskim — dzierżawę ziemi i to właśnie tych gruntów, które dopiero co otrzymała do uprawy z Państwowego Funduszu Ziemi. Albo inna spółdzielnia, z pow. kraśnickiego. Buduje przy pomocy kredytów państwowych cegielnię polową, donajmując następnie małorolnych chłopów do jej obsługiwania. Tu już nie można mówić o jakimś podziale w łonie wsi, ale o poważnym niezrozumieniu idei i roli spółdzielczości produkcyjnej, tej zdobyczy c a ł e g o chłopstwa pracującego.

I drugi wniosek. Wniosek o słabej, jeśli wręcz nie istniejącej pracy politycznej z powstałą już spółdzielnią, „odfajkowaną" już gdzieś w instancjach jako założoną, a więc — załatwioną. A pogoń za samą tylko ilością musi prowadzić właśnie do takich wyników, albo takich biurokratycznych wypaczeń, jak w pow. olkuskim, gdzie pięć spółdzielni powstałych w roku ubiegłym składało się z samych niemal urzędników. Ci na pewno nie znajdą drogi do chłopa. Ten szuka bowiem argumentów rzeczowych, a gdy trzeba — popartych rzetelnym przykładem i troskliwą pomocą.

„...ważne jest też — pisze J. Hajdus, przewodniczący spółdzielni produkcyjnej Bożków w woj. wrocławskim, — aby spółdzielnia w miarę możności pomagała chłopom indywidualnym. Myśmy np. w żniwa znaleźli czas na to, aby pomóc małorolnym Lisiewiczowi, Sękowi, Pinkiewiczowi; w ten sposób ochroniliśmy ich od kułackiego wyzysku. W codziennym życiu również zawsze rozmawiamy z chłopami indywidualnymi na temat naszej spółdzielni, opowiadamy o projektach na przyszłość..." I stwierdza dalej z dumą: „toteż nasi sąsiedzi coraz bardziej przekonują się do gospodarki kolektywnej i już w najbliższym czasie spółdzielnia powiększy się co najmniej o siedmiu nowych członków".

Tak więc spółdzielnia spółdzielni nie równa. Jedne z nich potrzebują pomocy, drugie na pewno mogą już pomieniować swoim bogatym organizacyjnym, politycznym i gospodarczym doświadczeniem. Warto to jak najbardziej upowszechniać, nie zaniedbując innych form podnoszenia słabszych spółdzielni, jak np. patronatów zakładów fabrycznych. Stały kontakt robotników ze spółdzielcami obok pomocy organizacyjno-technicznej i politycznej może również spełnić doniosłą rolę i w innych dziedzinach życia kolektywu, pozornie nie mających nic wspólnego z oficjalnym nieco charakterem szefostwa. Na przykład w dziedzinie obyczajowej. W dziedzinie likwidowania zdarzających się czasem kłótni na tle zadawnionych czy nowych uraz osobistych, przeżytków „sporów o miedzę" sporów o „dniówki" z nowej, z dawnej epoki, czy wręcz intrygi kułackiej. Niesnaski bardziej niż cokolwiek innego mogą szkodzić spółdzielni, a mentalność „zagrodowa" utrudnia jeszcze zrozumienie wspólnego celu zgodnie kroczącego kolektywu. Demaskowanie wrogich poczynań, cementowanie z takim trudem osiągniętej jedności przypada nieraz klasie robotniczej, która swoją jedność wykuła w wielu dziesiątkach lat walki.

Oczywiście, nic tak dobrze nie cementuje, jak świadomość wspólnego celu i wspólnych sukcesów. Stąd też każdy dobrze przepracowany rok, nowe osiągnięcia — to fundament jedności i zwartości spółdzielni. A — możemy sobie to dziś z radością powiedzieć — mocny już mamy fundament. Tysiące spółdzielni, które gospodarują przez kilka lat, osiągają średnio, w skali całego kraju, plony o 25 proc wyższe niż gospodarstwa indywidualne. A jak prędko rosną dochody członków. Gdy przeciętna liczba wypracowanych dniówek obrachunkowych wzrosła w roku ubiegłym w porównaniu z r. 1951 o 27 proc. na jednego pracującego, to dochód ogólny na każdego pracującego wzrósł w tym samym okresie o 57 proc. — czyli dwukrotnie szybciej. Trzeba sobie przy tym uświadomić, że jest to dopiero początek drogi. Ciągle jeszcze gospodarka spółdzielcza opiera się w przeważającej mierze na tradycyjnej gospodarce zbożowo ziemniaczanej. Zaczyna się dopiero rozwijać spółdzielcza hodowla, podejmuje na wielką skalę produkcja nasion kwalifikowanych i bydła zarodowego, szereg spółdzielni przestawia się na zyskowne warzywnictwo i sadownictwo. Bo — jak powiedział rok temu, na zjeździe, Dobiesław Szymański, przewodniczący spółdzielni produkcyjnej w Zajezierzu, w woj. gdańskim „...człowiek nie może poprzestać na tym co zdobył..." I dodał zaraz: „powinniśmy uczyć się, tym bardziej, że postęp spółdzielczości jest bardzo szybki, i my, aktywni działacze spółdzielczości, winniśmy za tym postępem nadążać". Cóż do tego dodać? Chyba to tylko, że Szymański bardzo trafnie zestawił spółdzielczość, a więc postęp, z nauką.

Jako rzeczy nierozdzielne.

ZBIGNIEW KLEJN

WOJCIECH BAJEROWICZ

PRZED NAMI „PROWINCJA"

Julka Machejka spotkałem trzy lata temu. Zwykłe zdarzenie, ale pamiętam, je dokładnie. Przyjechałem na studia do Łodzi aż spod Lęborka, gdzie mój ojciec do dzisiejszego dnia pracuje jako robotnik w PGR. Przy rodzicach zostało jeszcze troje mojego rodzeństwa, siostra jest na medycynie. Byłem onieśmielony gwarem wielkiego miasta, moje bardzo dobre stopnie, osiągnięte w prowincjonalnym gimnazjum, wydawały mi się mało ważne.

Przydzielono mi pokój w domu akademickim. Miałem tu mieszkać przez dłuższy czas z Machejkiem. Ten mnie do reszty pozbawił pewności - zaraz po pierwszej wspólnie przespanej nocy.

— Coś tu dziwnie pachnie — zauważył kręcąc nosem.

Zarumieniłem się dopiero po chwili. Moje ubranie, na które z wielkim trudem wydała matka 200 złotych, pachniało magazynem. Paczki przewiązane sznurkiem od snopowiązałki, antycznych kształtów walizka, z której dolatywał zapach suchego sera, drażniły delikatny nos mego współtowarzysza.

Trzy lata studiujemy razem polonistykę. W międzyczasie przeniesiono nas do słynnego miasteczka akademickiego. Osiedliśmy w pięknych, jasnych i ciepłych pokojach. Wspólny stół, wspólna paczka zapałek, ten sam nóż, książka i garnuszek do herbaty powodują specjalny rodzaj zbliżenia, który pryska wszakże, gdy przychodzi do wymiany zdań na zasadnicze tematy, związane z naszym przyszłym życiem po ukończeniu studiów, choć wydawać by się mogło, iż powinniśmy mieć jednakowe zdanie o przyszłości.

Pamiętam, było to kilka dni temu. Za oknem mróz sięgający prawie 30-stu stopni. Zebrało się nas kilku, zbliżających się do końca studiów — i dalejże dyskutować co będziemy robić.

W pierwszej chwili rej wodził Julek.

— Jedno jest dobre na studiach: można się porządnie wyspać. Pytacie co mam zamiar robić? W Łodzi się zahaczę na jakiej dobrej posadzie.

— Dostaniesz przecież przydział pracy?

— Frajer! Studiowałem najpierw trochę plastyki, chciałem walić do szkoły aktorskiej, przed służbą wojskową uchronił mnie uniwersytet, przed belferką uchroni co innego.

— A w teren nie pójdziesz?

— Wariat, Wisła się pali! Wojtek Bajerek uczy się lepiej niż ja i co będzie miał z tego? Zostanie belfrzyną w wielkiej uczelni miasta Pipidówka. Nie potem się wykopał z zafajdanego Mińska, żeby do Garwolina powracać. Przodownikiem nie jestem. Na pierwszą linię walki o szkołę wyślą takich, jak Bajerowicz albo Śliwowiecki.

Zabrała głos Czesława Malikówna. Dziewczyna nosi jasne warkocze, upięte po królewsku i marzy wyłącznie o karierze naukowej. Zdarzyło się kiedyś, że czekała na nią matka spod łódzkiej wsi prawie cały dzień. Cierpliwie, bez skargi. Matka przywiozła ze wsi list od koleżanek, które prosiły Czesławę, by co rychlej wracała na rodzinną wieś, gdzie powstaje pełna, jedenastoletnia szkoła ogólnokształcąca. Czesia narzekała na koleżanki, które nie rozumieją istoty pracy naukowej. A w naszej zaimprowizowanej dyskusji oświadczyła:

— Ja mam dość wiejskich obrzydłówków. Nachodziłam się za gąskami, znam pejzaże Chełmońskiego z osobistego doświadczenia. Matka jest poczciwa, kocham ją bardzo, ale co za perspektywa we Wrzosach? Ubóstwiam naukową krytykę. To jest mój świat. Ile w nim do zrobienia! Markiewicz wydaje podobno jeszcze jedną książkę o Prusie...

A Czesława — to wcale nierzadki typ studenta, mówiącego zawiłym żargonem seminariów. Uczą się tacy zazwyczaj bardzo dobrze lub co najmniej dobrze, ale do niczego nie należą, za nic społecznie nie odpowiadają. Słowem „naukowcy" w złym znaczeniu tego słowa, gdyż absolutnie oddaleni od życia. Wprawdzie jesteśmy powiązani z terenem, „prowincją", poprzez brygady letnie, czy brygady ruchu łączności, ale brakuje nam wciąż atmosfery dyskusji o pięknie zawodu nauczyciela, czy pracownika kultury właśnie na przysłowiowej prowincji. Wielu z nas nie ma poczucia wdzięczności za bezpłatną naukę, dom akademicki, wyżywienie. A przecież znakomita większość pochodzi z biednych wiosek, czy robotniczych przedmieść. Nasza polonistyka w bardzo jeszcze niewielkim stopniu powiązana jest ze szkołą konkretnym placem boju o nową, socjalistyczną młodzież. Brak świadomości wielkich, trudnych lecz porywających zadań powoduje między innymi i to, że niektórzy boją się przydziału pracy, jak diabeł święconej wody.

Zabrał głos Śliwowiecki. Zaczął od przykładów Ot taki Ostapowicz pracuje w TPP-R, jako instruktor kulturalny, specjalista w zakresie literatury radzieckiej. Jeździ po województwie, budzi zamiłowanie chłopów do socjalistycznej literatury Kraju Rad. Rysiek Prymicki klął na Tomaszów Mazowiecki, a teraz prowadzi zdecydowaną walkę o naukową, marksistowską interpretację literatury ojczystej.

— Ja tam wracam na powiat. Będzie u nas radiowęzeł, powstaje Dom Kultury. Żyć nie umierać!

Śliwowiecki, od chwili wstąpienia na uniwersytet utrzymuje stały kontakt z rodzinnym miasteczkiem. Odbiera dziesiątki listów miesięcznie od rodziny, kolegów z ZMP, rozmaitych aktywistów, chłopów z okolicy. Wieczorami odpisuje, radzi, wysyła książki, układa program świetlicowy. No a po studiach wraca — jak powiada — „do siebie".

Gorąco popierałem mego przyjaciela. Myślałem wtedy o moim młodszym rodzeństwie, które chciałbym uczyć, o swoim starym poloniście w Lęborku. Pragnąłem mu początkowo tylko dorównać, a teraz wiem, że mu pomogę.

Naszą dyskusję zrodziła gorąca potrzeba wymiany zdań na temat przyszłości. Nie może być co do tego wątpliwości, że przekonaliśmy już wielu kolegów w takich rozmowach o konieczności udawania się z uniwersytetu na pierwszą linię walki o socjalistyczną kulturę. Ale to były indywidualne rozmowy. Sprawa musi być stawiana publicznie zarówno w czasie nauczania, jak i w pracy ZMP.

Wojciech Bajerowicz

ZYGFRYD SAWKO

PIERWSZE FERIE

Pierwsze ferie. Nie od razu
student wszedł — przed furtką stanął.
Przez las, przez blask krajobrazu
śpieszył na wieś w mroźne rano.

Chciałby już na stałe wrócić,
piach mazurski i kurhany
lasem pokryć, wieś nauczać,
i sam przed nią zdać egzamin.

W piasku ślady stóp. Nad drogą
gałąź... Dawno zżółkły liście?
Z budy pies wyskoczył, kogut
sfrunął z płotu koło wiśni...

Sień sosnowa, dom sosnowy
obok — bliskie mu i obce...
Świeci słońce w dzień grudniowy,
iskry szronu drzewa złocą...

Wyszedł z izby ojciec siwy,
od obory przez podwórze
matka... W oczach łzy — szczęśliwi.
Syn spełnienie snów im wróży.

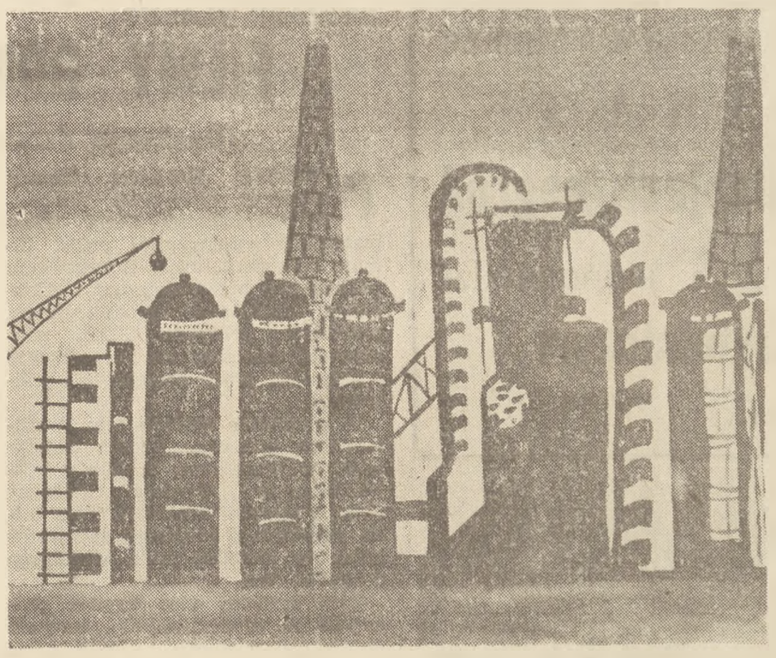

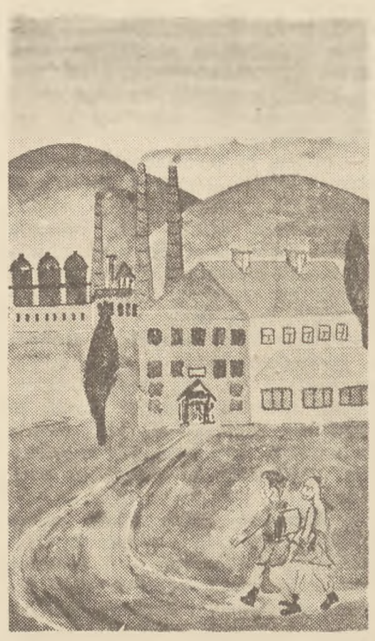

Oto rysunki Juliana Cichego z VI klasy szkoły podstawowej z Wigancic - Żytowskich w powiecie zgorzeleckim. Stanowią one razem pewną całość. W środku szkoła, do której chodzą dziś wszystkie dzieci. Obok dawny pastuszek, dla którego szkołą było tylko pastwisko. U góry, w perspektywie — Nowa Huta, symbol dzisiejszego miasta. U dołu wieś, która się przemienia i której życie przebudują chłopi i robotnicy.

MARIAN KARASEK

Obrachunek osobisty

„WIEŚ" zacząłem czytać przed siedmiu laty; kończyłem wówczas 17-ty rok życia. Byłem jeszcze uczniem wiejskiego gimnazjum w Godzianowie i członkiem „Wici". „Wieś" czytaliśmy na zebraniach naszego koła szkolnego. Artykuły o literaturze pozwalały nam uzupełniać wiadomości z tego zakresu i z dziejów chłopskich walk o wyzwolenie społeczne. Dlatego nas, wiejską młodzież bardziej interesowała „Wieś", niż prenumerowane przez szkolną świetlicę „Odrodzenie".

Jesienią 1948 r. ukazał się we „Wsi" artykuł Gałaja i Mozgi pt. „Przedsiębiorcy — działacze wsi", dotyczył stosunków panujących w Godzianowie. Wywołał nie tylko ożywioną dyskusję w okolicy, ale jak to się mówi — burzę. My, uczniowie czytaliśmy artykuł w szkole. Czytaliśmy na zebraniu koła ZMP w gromadzie sąsiadującej z Godzianowem. Wielu z nas opowiedziało się za autorami artykułu ale wielu również stanęło przeciw. Odgłosy tej dyskusji szkolnej i chłopskiej w okolicznych gromadach dostały się na łamy „Wsi". Drukowała ona na przełomie 1948-49 r. szereg wypowiedzi. Zabierali głos nawet czytelnicy, którzy nie znali dotąd Godzianowa, jak Jelonek z Porąbki koło Sosnowca, albo Rybus z Bochenia pow. Łowicz. Wielu z drukowanych i nie drukowanych dyskutantów twierdziło, że „Wieś" niesłusznie postąpiła krytykując działaczy - kułaków, którzy w okresie międzywojennym założyli spółdzielnie: spożywców, betoniarską, mleczarską i piekarnianą. Ci „przedsiębiorcy - działacze" prezesowali i sekretarzowali w spółdzielniach i stąd ciągnąc zyski i z własnych gospodarstw, gdzie pola obrabiali im parobcy i najemnicy.

Był to jeszcze okres, kiedy nie tylko kułacy bronili owych „działaczy - przedsiębiorców", ale również poczciwi, pracujący chłopi, głównie średniacy. Dlaczego? Bo wydawało się im, że ci działacze ze złotym łańcuszkiem w kamizeli, są niezastąpieni, że bez nich zamarłoby życie społeczno - gospodarcze. W tym rozumowaniu splatały się resztki wpływów PSL-owskich z wpływami gomułkowszczyzny, jeszcze nie wszędzie przezwyciężonymi na wsi.

„Wieś" zaś, która zamieściła artykuł odsłaniający klasowy charakter społecznikowania kułaków - przedsiębiorców i groźbę restaurowania kapitalizmu przez takich wilków w owczej skórze — ośmieliła biedotę godzianowską.

Zawrzało we wsi. Na zebraniach rozpaliły się zaciekłe dyskusje, przechodzące w ostre starcia. Artykuł wzmógł walkę klasową. Po kilku tygodniach prezesi - kułacy przestali kierować życiem Godzianowa. Artykuł poruszył całą wieś. Do ofensywy poprowadzili gromadę działacze — „stamowcy" (biedota). Usunięto z foteli prezesów. Nowi ludzie oddani szczerze sprawie spółdzielczej zaczęli kierować życiem wsi.

W r. 1950 powstała w Godzianowie spółdzielnia produkcyjna, najlepszy dowód zwycięstwa nowych sił nad starymi. Była to druga spółdzielnia w pow. skierniewickim. Stworzenie jej w dużej mierze stało się możliwe dzięki artykułowi „Wsi" i dyskusji nad artykułami o Godzianowie.

Opisane wydarzenia w Godzianowie i udział naszej szkoły w rozgorzałej walce klasowej, bardzo mocno wpłynęły na skrystalizowanie się moich poglądów. Widziałem fakty. „Wieś" pomogła mi zrozumieć ich polityczny i klasowy sens w jakże skomplikowanej sytuacji społecznej w Godzianowie. Bo Godzianów miał już reklamę przed wojną. Pisano o nim jak o Liskowie i Albigowej. O zasługach „działaczy - przedsiębiorców" (piastowiec, endek i sanator) uczono u nas dzieci w szkole. Wyszedłem z liceum z niemałym doświadczeniem praktycznym w walce klasowej oraz ideologicznym, które zawdzięczałem „Wsi".

Czytałem więc nadal pismo podczas studiów, początkowo na WSGW w Łodzi, potem w Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie. Pismo było czytane przez wielu studentów naszej uczelni. Znajdowało się w czytelni uczelnianej oraz w świetlicach domów akademickich. Przychodziły również egzemplarze w prenumeracie indywidualnej. Omawiając życie kulturalno - społeczno - gospodarcze przedstawiała nam „Wieś" **teren przyszłej naszej pracy**. Pokazywała życie spółdzielni produkcyjnych i POM, ich braki i osiągnięcia, ludzi walczących o socjalizm na wsi i tych, którzy walą kłody pod nogi postępowi. W pewnej więc mierze i zasługą „Wsi" jest to, że moi koledzy z WSR w Olsztynie, z którymi razem czytaliśmy „Wieś" i dyskutowaliśmy artykuły, osiągają dziś dobre rezultaty w pracy.

Z dwóch moich najbliższych przyjaciół zeteselowców, synów małorolnych chłopów, Adam Panek (ze Skierniewickiego) przed pół rokiem z agronoma rejonowego awansował już na starszego agronoma POM w Rawie Mazowieckiej. Leon Kłonica (z Opatowskiego) zaczął pracować w kwietniu ub. roku w POM Iława woj. Olsztyn. Dobrze się widać wywiązywał, skoro od listopada przesunięty został na trudniejsze stanowisko — starszego agronoma POM Piecki pow. Mrągowo, który obsługuje aż 37 spółdzielni.

Marian Karasek

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

W STRONĘ RODZINNYCH GROMAD

GDY idzie o wybór zawodu i przyszłego miejsca pracy, powinna szkoła terenowa wskazywać swoim wychowankom dwie wielkie perspektywy życiowe.

Po pierwsze — ukazywać realne, konkretne możliwości twórczego życia poza rodzinnymi stronami, gdzieś w wielkich miastach, na placach budów naszej Sześciolatki. Technik, inżynier, konstruktor, chemik, naukowiec — oto zawody, wymieniane często przez młodzież nawet z zapadłych wiosek, kiedy wieczorami dyskutuje swoją przyszłość. I tę rolę swoistego „okna na kraj" budujący socjalizm, szkoła nasza na ogół wypełnia. Któż bowiem, jeżeli nie młodzież wiejska, odmłodził po wojnie nasze miasta i place wielkich budów?

Po drugie — szkoła wiejska powinna ukazywać realne, konkretne możliwości trudnego, ale też z pewnością twórczego życia w rodzinnych gromadach, uczyć lokalnego patriotyzmu. Nie każda szkoła umie taką perspektywę przed młodzieżą przekonywająco rozsnuć. Jakże często bywa tak, że budownictwo socjalistyczne, cały jego rozmach zapalający młodzieńczą wyobraźnię, wiążą młodzi wyłącznie z dalekimi miastami, budową odległych osiedli, regulacją rzek, których nigdy nie widzieli, a rzadko kiedy z przebudową rodzinnych stron. Socjalizm w mojej wsi? Uroki ojcowizny, stare drzewo przydrożne, cienista jabłoń, dom dziadów pochylony wiekiem ku ziemi, błękitne niebo nad wsią — to wszystko może działać na strudzonego życiem wędrowca. Tego rodzaju uczuć doznają emigranci, wracający po latach na rodzinną wieś.

Z młodymi sprawy mają się zupełnie inaczej. Trzeba im podsunąć konkretne zadania, dające pełną satysfakcję osobistą, ujście dla ambicji, zdolności i zamiłowań. To jest grunt, na którym może się zrodzić trwałe przywiązanie do kraju dziecinnych lat, odpowiedzialność za jego przyszłe losy.

Przeglądam wypowiedzi uczniów Zasadniczej Szkoły Drzewnej w Rokicinach (pow. Brzeziny, woj. łódzkie). Piszą młodzi ZMP-owcy, w przyszłości wysoko kwalifikowani stolarze, o swojej pracy na terenie macierzystych gromad Rokiciny i Mikołajów.

Fot. — A. Musiał

Od kilku miesięcy działa na terenie Zasadniczej Szkoły Drzewnej klub korespondentów radiowęzła w Koluszkach. Pisarz, interesujący się zagadnieniem powstawania aktywu terenowego znalazłby w pracy i rozwoju pierwszej dziesiątki młodych wiele interesującego materiału.

Zaczynali — zdawać by się mogło — od drobiazgów. Ot, po prostu mieli wyszukać po gromadach jakieś tam sprawy, źle lub wcale nie załatwione. Stało się wszakże inaczej, przynajmniej o tyle, że wszyscy korespondenci odkryli sprawy ważne. Marian Jakubowski z gromady Stare Chrusty zwrócił uwagę na brak punktu bibliotecznego w rodzinnej wsi. Korespondencja ogłoszona przez radiowęzeł, przyniosła natychmiastowy skutek. Gminna Rada Czytelnictwa i kierownictwo biblioteki otworzyły punkt w kilka dni po artykule Jakubowskiego. Dziś kilkudziesięciu czytelników w Starych Chrustach regularnie sięga po książkę. Władysław Suszyński wykpił dowcipnie zarząd świetlicy w Łaznowskiej Woli. Od razu znalazły się szyby, materiał na reperację dachu i miotła do zamiatania. Co jednak ważniejsze — ruszył do pracy aktyw świetlicowy, składający się głównie ze spółdzielców. Leokadia Gorzkiewicz ożywiła śpiące koło wiejskie ZMP w Mikołajowie. Jan Szpruch dobrał się do PKW ZSL, który obiecał zorganizować w Rokicinach szkolenie rolnicze, wyznaczył nawet terminy zebrań — i tylko o prelegentach zapomniał.

Kiedy przez 2000 głośników radiowęzła w Koluszkach popłynęły audycje krytyczne uczniów Szkoły Drzewnej — w gminach Rokiciny i Mikołajów zawrzało. Znaleźli się i tacy, którzy zasypywali młodych złośliwościami w rodzaju: „nygusy, które podważają autorytet władzy, a na władzy stoi przecie świat".

Skutek tej, niewątpliwie wrogiej roboty był taki, że klub korespondentów przemienił się w rodzaj sztabu, operującego na terenie dwóch macierzystych gmin. Sztab niezwykle umiejętnie wykorzystał wielkie zainteresowanie chłopów dla lokalnych audycji. Młodzi wybrali taką metodę działania: z jednej strony jeszcze ostrzej piętnowali niedomagania w życiu kulturalnym rodzinnych wsi. Jakubowski sprowadził do Starych Chrustów prelegentów z zakresu oświaty rolniczej. Równocześnie tak rzeczowo i celnie zaatakował kierownictwo kina stałego w Rokicinach, że główny mechanik ob. Zalewski, chcąc nie chcąc publicznie mu gratulował. No i filmy nie idą już „do góry nogami", a frekwencja znacznie wzrosła.

Z drugiej strony w krótkich jeszcze dziejach młodzieżowego klubu korespondentów obserwować można walkę o ukazywanie konkretnych osiągnięć terenu. Wysuwanie przez mikrofon przodujących rolników — pierwszych w polu i wykonaniu obowiązków wobec państwa, przodujących czytelników, przykładowe analizy dobrej pracy bibliotekarzy i nauczycieli — związało silniej „starych" z młodymi. Pod wpływem szeregu audycji — Rokiciny, Popielawy, Łaznów, Mikołajów i inne gromady ruszyły ławą do udziału w IV etapie konkursu czytelniczego. 10 000 słuchaczy radiowęzła w Koluszkach dowiedziało się o Antonim Jędrzejewskim, Janie Marcinkowskim, Julianie Chmielarku i Władysławie Marusiku — chłopach wyróżniających się wszechstronnym oczytaniem i racjonalną gospodarką.

Wracamy do zasadniczego problemu, który udało się w dużej mierze rozwiązać nauczycielowi z Rokicin. Cóż bowiem osiągnął kol. Stanisław Krakowiak? Przy pomocy młodzieży ożywił życie kulturalno-oświatowe w kilkunastu gromadach. I nie tylko to. Przede wszystkim ukazał młodzieży trudną, lecz porywającą drogę walki o przyszłość ojcowizny. Jest doprawdy coś wzruszającego w fakcie, że synowie piszą audycje o swoich ojcach, wzorowych rolnikach i obywatelach. Nie chodzi jednak wyłącznie o pogłębiającą się więź rodzinną, lecz o uczucie społecznej dumy z tego, że deskami od świata zabita gromada Stare Chrusty dźwiga się z zacofania.

„Chcę, żeby w mojej wsi zaszły zmiany, o jakich dawniej nie było mowy" — pisze Marian Jakubowski. Uczeń? Owszem, ale równocześnie już i młody działacz, który odkrywa swoją życiową perspektywę w walce o przebudowę wsi, w której przyszedł na świat. Czy wzrusza go przydrożny krzyż i stare ściany domu postawionego przed laty? Zapewne, ale działalności jego przyświeca marzenie, o którym wspominał Lenin, cytując Pisarewa: marzenie o nowej wsi, którą można i trzeba budować również i rękami młodych.

Warto doprawdy zwrócić uwagę nauczycielom wiejskim na pouczający przykład działalności kol. Krakowiaka. Zwłaszcza po IX Plenum, które postawiło wyraźnie przed szkołą zagadnienie wychowania aktywu na potrzeby macierzystego terenu.

Wiesław Jażdżyński

UWAGA! — JUŻ W PRZYSZŁYM NUMERZE

KOMUNIKAT

O wysokości i rodzajach nagród

dla autorów najlepszych wypowiedzi

w Konkursie czytelniczym

Konkurs trwa do 31 marca.

rys. M. Kościelniak

WOJCIECH DRYGAS

Spotkanie z Partią

WIELE jest wiosek w powiecie kutnowskim, podobnych do Podgajewa Wąska rzeczułka, wijąca się w gąszczu leszczyny lub u stóp rozczapierzonych wierzb, omija wieś szerokim półkolem. Leniwe wody zasilają parę strumieni. Małe dopływy wody niedostatecznie nawadniają rozległe łąki. Między rzeczką a zabudowaniami gospodarskimi gromady rozciągają się moczary, nadające się w całości na uprawę pod warzywa. Długa aleja, wysadzona topolami, prowadzi ze wsi przez łąki do szachownicy, przeznaczonej pod zboża i okopowe.

Aleja była przedmiotem wielu dyskusji, które od kilku dni brały początek w chałupach — znajdowały ujście na żółtawym wzgórzu. Przelotnie tylko obejmowano wzrokiem szpaler wysokich topoli. Wszystkie spojrzenia kierowały się na rozległy szmat łąk, zwarzonych pierwszym mrozem i krętą rzeczułkę skutą cienką taflą lodu.

Barometrem opinii byli tutaj, wedle starszeństwa, trzej bracia Wierzchołkowie — kubek w kubek podobni jeden do drugiego, dla wygody sołtysa, władz gminnych i mieszkańców gromady ponumerowani cyframi rzymskimi. Wierzchołkowie mają w sumie dwieście lat, są starymi kawalerami i każdy z nich na własną rękę prowadzi niewielkie gospodarstwo. Pomimo, że spodziewano się po nich jakichś epokowych wystąpień, w dyskusji na żółtym wzgórzu okazali się dość lakoniczni.

Wierzchołek I mruczał jak kot:

— Hm... radę to może damy, ale może i nie damy!

— Ba — zastanawiał się głośno Wierzchołek II — dlaczego byśmy nie mieli dać? Chyba żebyśmy nie dali!

— Hehe — mrużył krótkowzroczne oczy Wierzchołek III. — Może i nie damy, ale może... damy?

Po tylu ważkich sądach, Wierzchołkowie doszli na koniec do przekonania, że najlepszą rzeczą będzie zawierzyć grupie.

„Grupa" — to był termin do niedawna w Podgajewie nieznany. Początkowo wymawiano go z niejakim zdziwieniem, potem dość obojętnie, wreszcie z ciepłym, a nawet serdecznym akcentem.

Grupa!

Trzon grupy stanowią Jan Gołębiowski, Józef Moks i Sabina Cegiełkowa. Obok nazwisk wszyscy oni noszą przydomek „przodujących". Przodujący Gołębiowski pierwszy w Podgajewie zgranulował superfosfat w beczce po kapuście. Zwyżką plonów pierwszy we wsi pokrył zobowiązania wobec państwa. Z kolei przodujący Moks odstawił na spęd osiem 160-kilogramowych tuczników. Były one prawdziwymi okazami. Załamała się pod nimi furmanka. Moks przebolał stratę. Kupił sobie motocykl. Wreszcie przodująca Cegiełkowa otrzymała od swojej krowy tyle mleka, ile dały w sumie przez cały rok trzy krowy braci Wierzchołków.

Sześć-siedem tygodni temu znajoma nam trójka przodujących wystosowała do Komitetu Gminnego Partii list, ułożony mozolnie w ciągu jednego wieczoru. Prosiła o założenie w rodzinnej wiosce grupy kandydackiej PZPR. List kończył się takimi oto słowy:

„...toteż jesteśmy głęboko przekonani, że w szeregach Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej będziemy mogli lepiej i szybciej wykonać zadania, jakie przed całym narodem postawiło IX Plenum".

Po jakimś czasie, tego samego zdania byli pozostali chłopi w Podgajewie. „W sąsiednim Orłowie Partia zrobiła to i to... — szeptano. — W Jaroszówce tamto i owo przez Partię przeprowadzono..."

W Podgajewie było wiele do zrobienia. Liczne gospodarstwa o areale ziemi mniejszym niż 3 hektary, nie hodują bydła; szereg innych, o powierzchni do 5 hektarów, posiada zaledwie po jednej krowie. Dlaczego? Bo otaczające wieś łąki nigdy nie tknięte pługiem, niepodpędzane kompostem i wapnem nawozowym, upodabniają się do szczeciny świńskiej — krótkiej i rzadkiej, a przy tym kwaśnej. Projekt wyprostowania i poszerzenia koryta rzeczki, skierowania jej biegu na wypalone słońcem zrudziałe pastwiska i zagospodarowania całego areału na wiosnę — ten śmiały projekt przedstawiony przez nowych kandydatów Partii na zebraniu gromadzkim, przyjęty został z uznaniem.

Wierzchołek I mruczał, jak kot:

— Hm... dlaczego by nie spróbować?

— Ba — zastanawiał się głośno Wierzchołek II — spróbować można!

— Hehe — mrużył krótkowzroczne oczy Wierzchołek III — kiedy można, to spróbujmy!

Zgodzono się również i na to, że zaprowadzi się w Podgajewie masowe budownictwo silosów, w których marnowane dotychczas liście buraczane chłopi przerobią na kiszonki. Rzecz oczywista nie wystarczy sam rozpęd, sama chęć czynu. Trzeba się uczyć! Bez nauki nie wybudujesz prawidłowego silosu. Bez nauki nie wiadomo, jak wziąć się do ulepszenia łąk. Bez nauki...

W tej jednak materii były zdania podzielone. Wierzchołkowie upierali się, że można i bez nauki, byle z rozsądkiem i przewidywaniem gospodarskim. Na to Cegiełkowa:

— A skąd się wam bez nauki wylęgnie we łbie rozsądek? Skąd? Takie są te wasze przewidywania, że każdego roku na przednówku krowy wam dach na stodole obżerają, a na łące wszystkie żaby policzysz...

Wierzchołkom zrobiło się głupio bo istotnie łąki mają paskudne, a krowy podobne do łysych kóz. Na szkolenie zgodzili się z rezygnacją w oczach.

Ustalono, że dwa razy tygodniowo samokształcenie rolnicze prowadzić będą na zmianę przodujący Gołębiowski i Moks. Z ich też inicjatywy założone zostaną na wiosnę przyszłego roku trzy poletka doświadczalne z uprawami kapusty abisyńskiej, słonecznika i końskiego zębu; żeby nauczyć Wierzchołków co to jest „baza paszowa".

Wierzchołek I mruczał, jak kot:

— Ta Partia za ostro zabrała się do roboty. Nie nadążymy!

— Ba — zastanawiał się głośno Wierzchołek II — może nadążymy, a może nie!

— Hehe — mrużył krótkowzroczne oczy Wierzchołek III — co byśmy mieli nie nadążyć?

Po tych debatach, milczący zabrali tyczki, sznurek, łopaty i poszli na łąki wytyczać wraz z innymi nową drogę leniwej rzeczułce.

Po drodze minęły ich ciężarówki wyładowane po wierzch materiałami budowlanymi. Był to już trzeci transport budulca, który zwożono do magazynów gminnej spółdzielni. Na tablicy sołtysa wisiało znane obwieszczenie o przyznaniu biedniakom kredytów państwowych na zakup krów i jałówek. Przygotowywała się wielka robota!

Wierzchołek I mruczał jak kot:

— Hm... a może jednak nadążymy za tą Partią?

— Ba — zastanowił się Wierzchołek II — widzi mi się, że może nadążymy!

— Hehe — mrużył oczy Wierzchołek III — cobyśmy nie nadążyli? Ta Partia jest połową w nas samych. W nas bezpartyjnych...

Wojciech Drygas

RYSZARD HŁADKO

FILMY DOKUMENTALNE

(Dyskusja działaczy terenowych)

PODCZAS Krajowej Narady działaczy oświatowo kulturalnych Centralny Urząd Kinematografii zorganizował pokaz filmów dokumentalnych. Uczestnikami pokazu byli przewodniczący i członkowie spółdzielń produkcyjnych, pracownicy polityczni POM, nauczyciele, działacze rad narodowych i aktywiści pracy społecznej i politycznej.

W programie znalazły się: 1) sfilmowany program „Teatru Satyryków" w Warszawie, 2) film o brakorobie, 3) „Opowieść Gdańska" (film o starym Gdańsku). Poza kilku skeczami z programu satyryków filmy te niewiele mają wspólnego z życiem wsi.

Tym bardziej więc wypada podkreślić u dyskutujących zdolność kojarzenia oglądanych filmów z ich własnym terenem i lokalnymi sprawami, zdolność dostrzegania na własnym podwórku analogicznych spraw. Charakterystyczny pod tym względem był głos spółdzielcy z Białostockiego o brakorobie w zakładzie odzieżowym.

— Można by pokazać takich brakorobów również u nas, w spółdzielni produkcyjnej. Myślę tu o takich spółdzielcach, którzy źle opielają buraki, zostawiając po sobie chwasty, którzy niestarannie zbierają ziemniaki za maszyną, lub niedbale przeprowadzają orkę.

— Takie filmy ośmielą i zachęcą — powiedział inny — do stosowania krytyki na wsi, wielu bowiem jeszcze naszych chłopów myśli, że lepiej nie krytykować, gdyż można się narazić. Tak było wśród członków spółdzielni w Rąbieniu, pow. Łódź.

— Wzmocnią takie filmy sojusz robotniczo-chłopski — mówił spółdzielca spod Gdańska — i zaufanie chłopa do robotnika. Pokazują bowiem, że Państwo Ludowe nie godzi się z marnotrawstwem — jak dotąd niektórzy z nas sądzą — ale patrzy krytycznie na pracę robotnika i stara się oddziaływać na niego wychowawczo.

Aktywista świetlicowy ze spółdzielni produkcyjnej koło Bielska dostrzegł w skeczu o londyńskich emigrantach („Teatr Satyryków") nader istotny problem polityczny.

— U nas — powiedział — niektórzy chłopi słuchają angielskich i amerykańskich szczekaczek. Ośmieszenie w filmie tych zdrajców, którzy przez nie przemawiają, pomoże naiwnym słuchaczom przyjść do rozumu.

Ciekawa była reakcja na film operujący m. in. tzw. „trickami technicznymi" (sfilmowane przedstawienie „Satyryków"). Konferansjerzy znikają błyskawicznie ze sceny, rozpływają się we mgle, rozdwajają i przepoławiają niby metapsychiczne media. Te „sztuczki" w widowisku satyrycznym wywołały wśród zgromadzonych przedstawicieli wsi najwięcej sprzeciwów.

— Co to jest? Przecież takich sztuczek nie da się na scenie pokazać — zastanawiał się z zakłopotaniem spółdzielca z Wrocławskiego. Te „sztuczki" na wsi nie przejdą — orzekł kategorycznie. — Sam ich nie rozumiem i innym bym nie potrafił wytłumaczyć.

Tylko jeden z dyskutantów zaaprobował technikę „tricku filmowego" wyrażając pogląd, że pokazanie takich „sztuczek" na ekranie może być skutecznym środkiem walki z wiarą w cuda i zabobony. W tych „cudach" nie ma przecież niczego cudownego; takie „cuda" potrafi tworzyć żywy człowiek. Był to głos nauczyciela.

Świadomość i oczytanie nauczyciela gwarantują, że nie zobaczy on w filmie spirytystycznej zagadki. Ale czy nie dostrzeże jej chłop, który niezupełnie jeszcze wyzwolił się spod wpływu „zjawisk nadprzyrodzonych", który wierzy jeszcze w cuda i zabobon?

Uczestnicy pokazu zgłosili solidarny sprzeciw wobec takich obrazów w filmie o „Teatrze Satyryków" jak skecz „Nerwy" (w wykonaniu Brusikiewicza) i skecz „Gangster, czyli skrzyżowanie Nowego Jorku z Nowym Targiem" (w wyk. Pawłowskiego). Skecze te tak w tekście, jak w wykonaniu cechuje nadmiar elementów groteskowych. Dlatego widz wiejski zamiast drobnomieszczańskiego „nerwusa" i amerykańskiego gangstera ujrzał po prostu... wariatów, co utrudniło mu zrozumienie ideologicznej symboliki tych postaci.

✣

Niefortunne ograniczenie pokazu do filmów o tematyce miejskiej nie pozwoliło zebranym wypowiedzieć się w pełni o zapotrzebowaniu na filmy wiejskie; tylko z napomknień można się domyślać, czego wieś żąda w tym zakresie.

— Szkoda, że film ograniczył się do pokazania kułaka i spekulanta — żalił się spółdzielca z Wrocławskiego.—Chcieliśmy także zobaczyć biurokratów wiejskich, tych od rozpatrywania podań, którzy u nas bardzo się rozpanoszyli i strasznie chłopom uprzykrzyli.

Żądano również pokazania plotkarki i „skrytykowania w satyrze tych, którzy przeszkadzają rozwojowi spółdzielczości produkcyjnej". Kierownik świetlicy z Poznańskiego proponował, aby ...„sięgnąć do piosenek i tańców ludowych. Są w naszych okolicach talenty, o których nikt nie wie. Rozwija się sztuka ludowa. Film mógłby pomóc w opanowaniu sztuki artystycznej recytacji i w nauce tańców ludowych, jak to jest w Związku Radzieckim, gdzie na ekranie pokazuje się nie tylko figury, ale i krok taneczny".

✣

Niezwykle silnym przeżyciem dla uczestników pokazu była „Opowieść Gdańska". Ostrość obrazu doskonałe ujęcia w „zbliżeniu" i perspektywie, decydujące o czytelności tematu, jakim jest historia budownictwa starego Gdańska, wreszcie niezwykła melodyjność muzyki idealnie skojarzonej z obrazem — wszystko to powoduje, że każdy kto ten film ogląda, ulega głębokiemu wzruszeniu. A przecież jest to film statyczny, bez konfliktu i akcji, bez żywych bohaterów, operujący jedynie martwymi dokumentami.

Dyskusja nad tym filmem była prawdziwą manifestacją patriotycznych uczuć chłopów.

Patriotyczne względy podyktowały także krytyczne uwagi o filmie. Dyskutanci mieli pretensję do twórców filmu, że pominęli w nim okres, kiedy w Gdańsku szalała „brunatna zaraza". Dopominali się o pokazanie bohaterstwa obrońców Westerplatte, okrucieństw hitlerowców w Stuthofie i cmentarza na Wydmach z polskimi nazwiskami.

„Poprawki" te i „uzupełnienia" mogą być przyjęte jako projekt nowego filmu, w stosunku do istniejącego; oznaczały one nieuwzględnienie określonej koncepcji „Opowieści Gdańskiej". Jest to film o średniowiecznej architekturze miasta i jego rozwoju historycznym. Nawet powojenna odbudowa Gdańska obraca się w zagadnieniach rekonstrukcji średniowiecznych budowli.

Przykład ten nasuwa dość istotny wniosek praktyczny dla działaczy kulturalnych na wsi. Ucząc najszersze masy obcowania z książką, prasą, radiem, filmem — ogólnie ze sztuką — pragniemy, aby czytelnik, słuchacz i widz umieli samodzielnie, ciekawie i słusznie przemyśleć i ocenić dzieło sztuki. Niedobrze jednak, że ucząc posługiwać się ideologicznymi kryteriami, nie wiążemy ich z kryteriami natury artystycznej, ze sprawą stylu, języka, wątków, kompozycji itp. elementów oceny artystycznej. Niedawna dyskusja o podręcznikach w szkole potwierdza ten brak. Podobnie było na pokazie filmowym. Na kilkudziesięciu dyskutantów jeden jedyny tylko działacz kulturalny — i to nauczyciel — zwrócił uwagę na zagadnienia artystyczne w filmie. Zadbać więc musimy o to, aby wykorzystując wyrobienie ideologiczne odbiorcy wiejskiego, nauczyć go także artystycznego spojrzenia na sztukę. Nie chodzi o zastąpienie zawodowej krytyki, lecz o poparcie jej postulatów, przez szeroko wyrobioną opinię estetyczną terenu.

Ryszard Hładko

STANISŁAW KRAKOWIAK

W walce o radiowęzeł

Z RADIOWĘZŁEM w Koluszkach rozpocząłem współpracować w okresie wyborów do Sejmu. 26 października 1952 roku przesłałem, jako sekretarz komisji wyborczej dwa komunikaty, omawiające przebieg wyborów.

Nieco później nadesłałem do Koluszek kilka komunikatów o pracy Gminnej Rady Spółdzielczej w Rokicinach, meldunek o wykonaniu planu produkcyjnego przez warsztaty mechaniczne i stolarskie szkoły zawodowej, wreszcie krótką audycję o pracy Komitetu Rodzicielskiego.

Wszystko to nie zrobiło na chłopach rokicińskich specjalnego wrażenia. Dopiero gdy wyciąłem ze „Wsi" artykuł członkini spółdzielni produkcyjnej w Felicjanowie i podałem do radiowęzła — chłopi ciekawie nadstawili uszu. Znana wszystkim w gminie kobieta mówiła o wrażeniach z pobytu w Związku Radzieckim.

W listopadzie tego samego roku puściły Koluszki mój artykuł mówiący również o wspaniałym rozwoju rolnictwa radzieckiego. I ja bowiem uczestniczyłem w wycieczce do Kraju Rad; widziałem wiele kwitnących kołchozów i sowchozów, obserwowałem imponującą technikę, setki skomplikowanych maszyn, przynoszących ulgę ludziom w pracy na roli i wyższą wydajność. I tym razem chłopi nie odchodzili od głośników, a fala gorących dyskusji przeszła przez gminę.

W tym okresie byłem jedynym korespondentem terenowym radiowęzła. Suche, nieciekawe komunikaty przesyłały od czasu do czasu niektóre GRN, wydziały rolnictwa i leśnictwa, zarząd powiatowy ZSCh — i to chyba wszystko. Audycje straszyły nudą, chłopi prawie zawsze wyłączali głośniki, kiedy zaczynały mówić Koluszki.

Brzmi to może zabawnie, ale na czele Komitetu Redakcyjnego stanął niejaki Kosiński, były rzeźnik. Trzydniowy kurs dla kierowników radiowęzłów oczywiście niewiele zmienił w jego poglądach na rolę lokalnej radiofonii. Zawiadomienia o tym, co jest w sklepach, w zupełności mu starczały, (choć trzeba przyznać, że temat dla słuchaczy był ciekawy). Reszta członków komitetu — były to typowe papierowe postacie, figuranci, którzy dosłownie nic nie robili.

Prawdę mówiąc i ja sam nie wiedziałem, w jaki sposób ustawić nasz koluszkowski mikrofon. Na szczęście postawiła to zagadnienie prasa, m. in. i „Wieś". W kwietniu ub. roku ukazał się artykuł Stefana Turowskiego pt.: „W Brodnicy rewolucja kulturalna", a obok niego notatka redakcyjna, wzywająca czytelników do zabierania głosu o pracy radiowęzłów. Głosy się posypały, sprawę podjął również nasz łódzki organ PZPR — „Głos Robotniczy".

Śledząc uważnie doświadczenia innych radiowęzłów doszedłem do takiego przekonania: najlepszy kolektyw kierowniczy będzie bezradny, jeżeli nie zapewni sobie zainteresowania i współdziałania pośród mieszkańców wsi. Oni w pierwszym rzędzie powinni mówić przez mikrofon o najważniejszych bolączkach i osiągnięciach rejonu.

W styczniu, dopiero w styczniu 1954 roku nastąpił przełom. W Prezydium MRN w Koluszkach odbyło się walne zebranie aktywu, zorganizowano nowy Komitet Redakcyjny z ob. Kwiatoszem na czele. Z miejsca opracowaliśmy konkretny, choć prowizoryczny plan pracy na kilka tygodni. W miejsce jałowych, nudnych pogadanek i suchych komunikatów wprowadziliśmy audycje interwencyjne, satyryczne; przed mikrofonem staną okoliczne zespoły artystyczne, wybitniejsi, wzorowi gospodarze. Już 23 stycznia zespół świetlicowy OSP w Koluszkach wystąpił we własnym repertuarze.

Okazało się w praktyce, że jest u nas w terenie wielu ludzi, którymi można się poszczycić przed całym powiatem. Co więcej — nie brakuje chętnych współpracowników.

Werbowanie aktywu do współpracy z radiowęzłem nie przyszło mi trudno. Jako nauczyciel szkoły zawodowej w Rokicinach zwróciłem się do zdolniejszych i bardziej wyrobionych uczniów, aktywistów ZMP. Podsunąłem tematy, poprawiłem teksty i pierwsza 10-ka stałych korespondentów radiowęzła — gotowa. I to nie byle jaka dziesiątka! Wścibska, ruchliwa, młoda. Marian Jakubowski, Jan Szpruch, Leokadia Gorzkiewicz, Władysław Suszyński — pierwsi usłyszeli swoje prace przez radiowe głośniki.

Nasza stała audycja pt. „Młodzież szkoły zawodowej w Rokicinach pisze..." zainteresowała gminę tak dalece, że ani odpędzić teraz chłopów od głośników. Inna rzecz, że naszych młodych korespondentów nazywają tu i ówdzie — „nadgorliwcami". Takie określenie padło pod adresem Mariana Jakubowskiego, który solidnie „objechał" kierownictwo biblioteki gminnej i senną Radę Czytelnictwa za brak punktu bibliotecznego w Starych Chrustach, wsi liczącej 80 numerów i odległej od gminnej biblioteki o 5 km. I jakby nie było punkt biblioteczny we wsi już jest, a młody korespondent tym energiczniej zabrał się do studiowania potrzeb terenu.

Charakterystyczna rzecz: za młodzieżą poszli starsi. W dniu 10 stycznia zawiązaliśmy klub korespondentów radiowęzła liczący 15 osób. Jak na początek wcale nieźle. Kilka dobrych korespondencji przesłał sekretarz PGRN w Mikołajowie ob. Antoni Feja. Zgłosił się do nas ob. Wacław Kuch z GS w Rokicinach, Stefan Wrzesiński, pracownik PKP i inni.

Oczywiście — nie znamy jeszcze należycie terenu, który reprezentujemy. Nie zawsze wybieramy sprawy ważne. Ale powoli do nich dotrzemy. Słucha nas przecież 10.000 ludzi! Warto się o nich bić.

Stanisław Krakowiak

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

JULIAN MACIEJ GOSLAR*)

OBOK Edwarda Dembowskiego i ks. Piotra Ścięgiennego — Julian Maciej Goslar (1820—1852) należy do czołowych działaczy polskiego ruchu rewolucyjno-demokratycznego, przygotowującego w latach czterdziestych ogólnopolskie powstanie ludowe.

Goslar, podobnie jak i inni nasi rewolucjoniści-demokraci, główną siłę napędową ruchów społecznych w owym okresie widział w masie chłopskiej. Wynik powstania uzależniał on od tego, czy lud weźmie udział w walce i czy nada jej siłę i rozmach rewolucyjny. Uważał za konieczne równoczesne rozpoczęcie powstania i dokonanie rewolucji agrarnej, wbrew woli i oporowi szlachty. Program społeczny Goslara ma wiele cech socjalizmu utopijnego, pokrewnego z hasłami głoszonymi przez ks. Ścięgiennego oraz przez emigrację po powstaniu listopadowym, zrzeszoną w organizacji „Lud Polski".

Goslara nie zadowalał program głoszony przez obóz demokracji szlacheckiej, którego ekspozyturą było Towarzystwo Demokratyczne. Obóz szlacheckiej demokracji chciał pozyskać dla powstania masę chłopską za cenę przeprowadzenia uwłaszczenia. Chłopi, którzy uprawiali działki na swój użytek z obowiązkiem odrabiania pańszczyzny, mieli się stać właścicielami tych działek, lecz równocześnie folwark obszarniczy pozostałby nienaruszony. Przekształciłby się jedynie z feudalnego, opartego na bezpłatnej pracy poddanego chłopa — w kapitalistyczny, eksploatujący robotnika najemnego. Losem bezrolnej biedoty wiejskiej szlachecczy demokraci w ogóle się nie zajmowali. Co najwyżej skłonni byli obiecać tym, którzy wstąpią w szeregi powstańcze drobne nadziały ziemi z dóbr narodowych (folwarków, stanowiących własność państwa). Goslar chciał natomiast, by cała ziemia, a więc i folwark obszarniczy, stała się własnością chłopów bezpośrednio zatrudnionych przy jej uprawie.

Jednakże, prowadząc prace przygotowawcze do powstania w 1845 r. Goslar, podobnie jak i Edward Dembowski, przyjął ograniczony program agrarny Towarzystwa Demokratycznego, licząc się z tym, że w miarę jak ruch będzie się stawał coraz bardziej powszechny, nastąpi jego radykalizacja.

W działalności Goslara wyróżniamy trzy okresy. Pierwszy — do wybuchu powstania krakowskiego w lutym 1846 r. — to ofiarna, niestrudzona praca agitacyjno-uświadamiająca na wsi. Przygotowanie góralskiego powstania w Dolinie Chochołowskiej i nieudana próba rozpoczęcia walki w okolicach Sanoka. Okres ten zamyka osadzenie patrioty przez władze austriackie w więzieniu Spielberg.

Okres drugi związany jest z Wiosną Ludów. Wyzwolony ze Spielbergu, Goslar natychmiast staje w szeregach rewolucyjnych. W Galicji znajduje sytuację zupełnie inną niż w 1846 r. Szlachta boi się udziału chłopów w powstaniu. Gwaranta swej uprzywilejowanej pozycji społecznej widzi w cesarzu austriackim. Demokratyczno-rewolucyjne elementy spośród inteligencji i drobnomieszczaństwa są zbyt słabe, by stać się kierownikiem rewolucji. Po kilku nieudałych próbach agitacji na wsi Goslar opuszcza Galicję. Jako jeden z bliskich podkomendnych generała Bema bierze udział w obronie rewolucyjnego Wiednia w październiku 1848 roku. Udział w rewolucji wiedeńskiej przypłacił Goslar powtórnym uwięzieniem, tym razem w osławionej katowni patriotów polskich w fortecy Kufstein nad Inem.

Trzeci okres obejmuje ostatnie dwa lata życia Goslara (1850—1852). Zwolniony na podstawie amnestii staje się bojownikiem „za wolność naszą i waszą". Przygotowuje walkę wyzwoleńczą narodów ciemiężonych przez Austrię.

Wraz z Węgrem Michałem Piringerem, przygotowuje polsko-węgierskie powstanie. Jego działalność przerywa uwięzienie. Stawiony przed sądem wojskowym został skazany na śmierć i w niu 5 lutego 1852 r. stracony.

✣

Praca Mariana Tyrowicza o Goslarze daje czytelnikowi sylwetkę rewolucjonisty, wybór jego pism i wierszy (Goslar był również poetą), oraz dodatkowe materiały biograficzne w postaci różnych dokumentów. Autor pominął, niestety, tło epoki, w której działał Goslar, przytaczając natomiast wiele faktów, które nie zawsze czytelnik potrafi związać z sytuacją na ziemiach polskich, oraz ówczesnymi prądami ogólnoeuropejskimi.

Chronologiczne omówienie działalności Goslara zyskałoby wiele, gdyby autor przedstawił sytuację wsi galicyjskiej w latach czterdziestych. Należałoby wspomnieć o tym, że szlacheccy spiskowcy nie prowadzili pracy agitacyjno-uświadamiającej wśród chłopów, a Goslar i Dembowski należeli raczej do wyjątków, że właśnie tam, gdzie oni działali, chłopi stanęli po stronie powstania, jak np. w okolicach Wieliczki i na terenie Podgórza. Również udział Goslara w wypadkach 1848 r. należało poprzedzić omówieniem wydarzeń przynajmniej na terenie Austrii, jeśli nie Europy. Autor robi założenie, że czytelnik zna epokę i samodzielnie umie wpleść działalność Goslara w ówczesną skomplikowaną sytuację ekonomiczną i polityczną. Niewątpliwie zrobi to historyk, ale książka prof. Tyrowicza na pewno zainteresuje się aktyw kulturalny na wsi, nauczycielstwo i młodzież. Dla tej grupy czytelników niektóre fragmenty działalności Goslara będą niejasne.

Pomimo tych uchybień, książka o Julianie Goslarze niewątpliwie zainteresuje wielu działaczy kulturalnych na wsi, znajdzie również czytelników spośród nauczycielstwa i młodzieży szkolnej. Cenne uzupełnienie tej pracy znajdzie czytelnik w książkach: Stefana Kieniewicza — „Konspiracje galicyjskie" i Leona Przemskiego pt. „Edward Dembowski".

Zasługą prof. Tyrowicza jest podjęcie tematu i skrupulatne zgromadzenie rozproszonych po różnych wydawnictwach i archiwach ułamkowych materiałów o życiu i działalności Goslara. Zasługą też jest wierne opracowanie tematu.

Władysław Bortnowski.

*) Marian Tyrowicz: „Julian Maciej Goslar — zarys życia i materiały biograficzne". Ludowa Spółdz. Wydawnicza, Warszawa 1953 r., str. 204, cena 3 zł 80 gr.

O wiedzę rolniczą dla wsi

Wiadomości z terenu świadczą że przedstawiciele naszej administracji i organizacji masowych coraz częściej omawiają z chłopami problemy lepszego gospodarowania na wsi. Nie zawsze jednak pamiętają, że chłop oczekuje od nich nie instrukcji — lecz dobrej gospodarskiej rady: w należytym wykorzystywaniu gleby, w osiąganiu lepszych plonów, w podnoszeniu hodowli.

Jest rzeczą oczywistą, że taka rada może być chłopu udzielona tylko wtenczas, kiedy udający się na wieś działacz społeczny lub przedstawiciel władz administracyjnych: p o p i e r w s z e — rozumie troski rolnictwa, p o d r u g i e — zna warunki, w jakich dana wieś gospodaruje.

Prelegent na zebraniu gromadzkim, umiejący jedynie przekazywać zalecenia, nie zdoła wypełnić swych zadań. Pomoże natomiast wsi każdy, kto wykaże jej mieszkańcom: że właściwości miejscowej gleby są źle przez rolnika wykorzystywane; że siewy przeprowadzane są zbyt późno; że podorywki na zimę znacznie skuteczniej chronią uprawy przed suszą.

Na naradach gromadzkich trzeba ostro stawiać te zagadnienia — i omawiać je zawsze gruntownie i wyczerpująco — z dokładną znajomością rzeczy.

Kiedy prelegent może wykonać takie zadanie? Wtedy, gdy nie będą mu obce zarówno zdobycze nauki rolniczej, jak i znajomość terenu.

Kto uważnie obserwuje życie naszej prowincji, spotyka tam często tzw. „zawodowych mówców". Lubią oni przemawiać na każdy temat, nie zdając sobie sprawy z tego, że wartość ich wystąpień jest właściwie żadna. Toteż podobne przemówienia na zebraniach poświęconych podniesieniu produkcji rolnej nie powinny w ogóle mieć miejsca. Najlepszy mówca nie zdoła porwać chłopa do wzorowego wykonania prac wiosennych w polu, jeśli mu dobitnie nie wykaże, że gwarancją lepszych zbiorów w jego gospodarstwie jest wybór odpowiedniego stanowiska pod uprawy, zalecone przez naukę nawożenie, dokonany w porę siew, prawidłowa pielęgnacja roślin.

Najpopularniejszym na Kurpiach prelegentem na chłopskich zebraniach jest ob. Jankowski z rejonowego koła Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Ostrołęce. Umie on wiązać omawiane wydarzenia w kraju — z aktualnymi zadaniami wsi. W ub. roku ob. Jankowski zainicjował na Kurpiach sadzenie podgrzewanych kartofli. Liczni jego słuchacze zastosowali w praktyce jego rady na swych poletkach doświadczalnych. W jesieni zebrali z nich bez mała trzykrotnie większe urodzaje!

Pomysł ob. Jankowskiego dlatego okazał się wysoce pożyteczny, że był oparty na jego doświadczeniach w terenie. Na innym terenie takie doświadczenia mogą okazać się owocne dla zbóż ozimych lub roślin strączkowych.

I dlatego w naradach produkcyjnych z chłopami CZYNNIK ZNAJOMOŚCI GLEB MUSI ODGRYWAĆ ROLĘ PIERWSZOPLANOWĄ. Gleba ma wszędzie swoją specyfikę. Różne są zatem możliwości zwiększenia wydajności z hektara zarówno w poszczególnych gminach, jak i gromadach. O tym powinni dobrze wiedzieć wszyscy działacze społeczni, samorządowi i samopomocowi, powołani do współdziałania z masami chłopskimi w wykonaniu najbliższych zadań wsi.

Praca uświadamiająca na wsi nie należy do łatwych. Wymaga ona bowiem nie tylko wiedzy, lecz i umiejętności przekazywania jej słuchaczom. Kierując ludzi do takiej pracy, należy zawsze pamiętać o ich odpowiednim przygotowaniu.

Praca jest dla każdego człowieka niezawodnym środkiem do osiągnięcia celu. Chłop polski na roli nigdy jej nie szczędził. Wiemy jednak, że samą pracą nie zdoła w dwójnasób podnieść przyszłych zbiorów. Do tego potrzebna mu jest wiedza...

Ze światłem wiedzy rolniczej trzeba dziś iść na polską wieś!

Kazimierz Jesion

RYSZARD ULATOWSKI

Czyja inicjatywa?

NA niedawnej Naradzie Aktywu Kulturalno - Oświatowego spółdzielni produkcyjnych wśród wielu innych zabrał głos Zachar Oksieniuk — przewodniczący spółdzielni produkcyjnej w Deniskach, pow. Bielsk Podlaski (Białostockie).

— W naszej pracy (kulturalno-oświatowej) dużo zależy od nauczyciela; bo kiedy przewodniczący spółdzielni chce kierować młodzieżą, to na niego źle patrzą spółdzielcy, ale jak nauczyciel nam pomaga, nic nie mówią... Nie można, żeby tylko przewodniczący pracował. Pracę musi podciągać nauczyciel, żeby były zespoły w każdej spółdzielni, żeby młodzież była zorganizowana, żeby pokazać jakie dziś mamy życie i jakie gospodarstwo.

Oksieniuk podjął ważny problem. Kto ma się zająć mobilizacją młodzieży spółdzielczej do pracy kulturalno - oświatowej w spółdzielni produkcyjnej? Upraszczając — przewodniczący spółdzielni czy nauczyciel?

Ale w pretensji Oksieniuka pokutuje przekonanie, że praca kulturalna młodzieży to nie „resort" zarządu spółdzielni; wystarczy, że go podeprze materialnie.

A przecież w spółdzielniach nie jesteśmy zwykłymi hreczkosiejami. Przy dzisiejszej technice i metodach uprawy roli i hodowli — najsilniej rozwiniętych właśnie w spółdzielniach produkcyjnych — więcej potrzeba już głowy, niż ręki.

Drukowaliśmy w ubiegłym numerze głos Jana Staniuchy, przewodniczącego spółdzielni w Olszewce. Olszewka dokonała tego, co stanowi jedno z kardynalnych założeń aktualnych Partii: tysiącznymi niemi przywiązała do spółdzielni młodzież, ukazała jej perspektywę rozwoju, powstrzymała ją od niepotrzebnej ucieczki do miasta.

Decydującą w tym rolę odegrało dobrze postawione życie świetlicowe, rozwinięte w najróżnorodniejszych formach i środkach oddziaływania na młodzież. Zasadniczy wpływ wywarła duża pomoc udzielona świetlicy i życiu kulturalnemu przez zarząd spółdzielni. Była to nie tylko pomoc materialna i organizatorska. Przede wszystkim przejawiła się ona w bezpośrednim udziale szerokiego ogółu członków spółdzielni, nie wyłączając przewodniczącego i członków zarządu w codziennej pracy świetlicowej, w zespołach artystycznych, w grach i zabawach, w rozwijaniu czytelnictwa, w samokształceniu rolniczym i ideologicznym. Starsi dali przykład młodzieży. Dziś młodzież przejęła od nich inicjatywę i daje przykład starszym; wszak to młodzi świetlicowcy zażądali od spółdzielców opracowania szczegółowych norm pracy. W rozwijaniu pracy świetlicowej dostrzegł zarząd jak dobry kupiec, własny przede wszystkim interes dla gospodarki i dla kultury.

Czy praca ta obeszła się bez pomocy z zewnątrz? Bynajmniej. Został wciągnięty szeroki aktyw spośród nauczycieli, działaczy Rady Narodowej, ZSCh, POM itp., który służył spółdzielni radą i krytyką i brał bezpośredni udział w pracach świetlicy. Spółdzielcy z Olszewki nie zwolnili więc z „obowiązku" swego nauczyciela, ale też nie potraktowali go jak dwugarbnego wielbłąda, którego tak się objucza, że wreszcie na nogi nie wstanie. Nauczyciel jest dla Olszewki tylko jednym z „wielu wybranych", którzy mogą i powinni pomagać.

Tylko połączenie wysiłków daje sukcesy. Zorganizować tę połączoną siłę, wyjść jej naprzeciw powinna sama spółdzielnia. Będzie to **wspólny** wysiłek skutecznie **wspomagający i uzupełniający** wysiłek działaczy kulturalnych, który między innymi **złagodzi** nadmierny wysiłek nauczyciela, jakiego domagał się przewodniczący spółdzielni w Deniskach — na rzecz rozsądnego **podziału pracy** kulturalno-oświatowej w spółdzielniach produkcyjnych. Trzeba więc pamiętać o radzie wiceministra Piotrowskiego, aby „zwrócić się przez zarząd spółdzielni o pomoc do ZMP, ZSCh, Związków Zawodowych, Rad Narodowych, POM-ów, do nauczycielstwa, do zespołów robotniczych, do szkoły rolniczej, do czynników upowszechniających wiedzę rolniczą, do biblioteki, do Powiatowego Domu Kultury, do teatrów, TWP itp. instytucji i organizacji, które na pewno chętnie pomogą". Ale i szukanie pomocy wymaga inicjatywy zarządu spółdzielni!

Ryszard Ulatowski

O konkursie recytatorskim

SŁYSZY się głosy, że uczestnicy I-go Konkursu Recytatorskiego — to w dużej mierze recytatorzy z bożej łaski, tacy, którzy sami wyczuli piękno poetyckiego słowa, zdobyli się na odwagę i doszli zwycięsko do wojewódzkich czy nawet centralnych eliminacji. Dużo w tym racji, ale najwięcej trzeba podziwiać odwagę tych w gromadzie, którzy stawali do konkursu nie mając żadnego teoretycznego przygotowania do recytacji czy deklamacji. Są na wsi entuzjaści piękna poezji i wielbiciele piękna języka polskiego. Z tego wypływa wniosek: dać im przykłady pięknej recytacji i wzorowego głośnego czytania.

Ale jak? Wiem, że odczyty TWP docierają już do gromad; rzucam więc myśl: czy nie dałoby się powiązać pewnych odczytów z krótką recytacją wiersza, względnie głośnym wzorowym czytaniem fragmentów z prasy, szczególnie gdy odczyt poświęcony jest literaturze. Dużo tu ma do powiedzenia „Artos" i Teatr Młodego Widza. Mogłyby im pomóc Rady Czytelnictwa i Książki w opracowaniu planu recytacji — tak, aby dobry recytator dotarł do każdej gromady 1 — 2 razy do roku, szczególnie do tych gromad, gdzie jest szkoła z dwoma programami dla dzieci i dla starszej młodzieży. Miałoby to duże znaczenie, jako wzór i nauka recytacji, a jednocześnie wpłynęłoby na poczytność literatury pięknej, szczególnie poezji.

Świetlice, w których obok śpiewu, tańca, przedstawienia amatorskiego odbywa się również recytacja pojedyncza i zbiorowa, mają wdzięczne zadanie rozszerzenia tej mało jeszcze popularnej gałęzi sztuki. Dlatego świetlice wiejskie chciałyby przynajmniej raz w roku usłyszeć u siebie zawodowego recytatora z teatru lub radia.

A czy w programie Polskiego Radia nie można by wprowadzić porad recytatorskich? Słuchacze radiowi z odległych osiedli byliby bardzo wdzięczni za tę pomoc.

Ostatni wniosek dotyczy strony organizacyjnej. Konkurs recytatorski w ub. roku był pierwszą tego rodzaju imprezą i dlatego był niespodzianką nawet dla późniejszych jego uczestników. Sporo było takich, którzy żałowali, że nie mogli przygotować się nieco dłużej. I stąd apel do organizatorów, by ogłosili już teraz termin tegorocznego konkursu. Po drugie termin konkursu nie był odpowiedni dla młodzieży szkolnej ani zawodowych aktorów i świata pracy (ferie, czas urlopowy). Konkurs winien być organizowany albo wcześniej albo w okresie zimowym.

Część tych spostrzeżeń pochodzi bądź od uczestników konkursu, bądź od organizatorów na szczeblach gromady lub gminy. Niewątpliwie inicjatorzy i organizatorzy na szczeblu centralnym będą mieli bogaty materiał. Warto by już teraz go zebrać, podsumować i wykorzystać do lepszej i sprawniejszej organizacji drugiego konkursu.

Józef Podgórecznу

NIEMCY ZJEDNOCZONE — ALE JAK?

(Dokończenie ze str. 2)

opracował... dr Kaufmann, doradca prawny Adenauera.

DROGI WYJŚCIA

Dlatego też zagadnienie sprowadza się nie do ustalenia formalnych przepisów wyborczych. Chodzi o coś więcej. O opracowanie takich podstaw zjednoczenia Niemiec, które zapewnią pokojową politykę ich krajowi.

Jakie są te podstawy? Opierają się one na układzie poczdamskim. Niemcy mają być odbudowane jako państwo jednolite, niezawisłe, demokratyczne i miłujące pokój, z granicą ustaloną układem poczdamskim. Narodowi niemieckiemu trzeba zapewnić pełnię praw demokratycznych i podstawowych swobód: wolność słowa, prasy, przekonań politycznych, kultu religijnego, zebrań. Działalność partii i organizacji politycznych nie może być niczym skrępowana. Natomiast organizacje wrogie demokracji i pokojowi powinny być zakazane.

Niemcy zobowiążą się, że nie będą brały udziału w żadnych koalicjach ani paktach skierowanych przeciw państwom, które walczyły z hitlerowcami. Nie będą ich także zobowiązywały układy o charakterze politycznym lub wojskowym, zawarte uprzednio przez rządy obu części Niemiec.

Takie podwaliny pod ustrój przyszłych Niemiec są należytą rękojmią pokojowości zjednoczonego państwa.

W jaki sposób ma nastąpić zjednoczenie? Projekt przedstawiony przez ministra Mołotowa przewiduje, że parlamenty Niemieckiej Republiki Demokratycznej i Niemiec zachodnich przy szerokim udziale organizacji demokratycznych wyłonią tymczasowy rząd ogólnoniemiecki. Głównym jego zadaniem będzie przeprowadzenie rzeczywiście wolnych wyborów ogólnoniemieckich bez jakiejkolwiek ingerencji państw obcych. Poza tym rząd tymczasowy miałby reprezentować Niemcy na zewnątrz, uczestniczyć w opracowywaniu traktatu pokojowego, prowadzić na wskroś pokojową politykę, zapewnić swobodną działalność stronnictwom i organizacjom demokratycznym, rozwijać stosunki ekonomiczne i kulturalne między Niemcami wschodnimi i zachodnimi. Rzecz oczywista, że dla zapewnienia wolnych wyborów w całych Niemczech należy rozwiązać wszystkie organizacje rewizjonistyczne i militarystyczne, oraz umożliwić swobodny udział w wyborach partiom i organizacjom demokratycznym.

Dopiero takie wybory, przeprowadzone przez samych Niemców bez żadnej obcej ingerencji, mogą wyłonić parlament będący prawdziwym przedstawicielem szerokich rzesz ludności. I tylko w ten sposób można dokonać zjednoczenia.

Leszek Moczulski

Niech przekształcą naszą wieś

DO konkursu hodowlanego przystąpiłam początkowo sama, bo nikt w naszej wsi nie chciał. Sama cały rok pracowałam i osiągnęłam dobre wyniki w hodowli bydła, trzody chlewnej i kur. A w tym roku zorganizowałam już 12 kobiet i mam nadzieję, że do końca roku zorganizuję i pociągnę dobrym przykładem pozostałe.

Zanim wzięłam udział w konkursie, nie wiedziałam, ile można osiągnąć mleka od krów, jak robić, aby opłaciła się hodowla. Teraz prowadzę zeszyt i mogę sprawdzić, jak należy podawać karmę, utrzymywać w czystości bydło, by otrzymać od każdej krowy 25 litrów mleka. Z planowego skupu mleka i zboża wywiązałam się w r. 1953 w 100 proc., a mięsa oddałam nawet 1000 kg ponad plan, mleka 900 l. ponad plan.

Ale nie tylko o własnych osiągnięciach chciałam powiedzieć. Ważniejszą dla mnie sprawą jest przyszłość wszystkich gospodarstw chłopskich. Bo przecież widzę, że chłopi na wsi często nie umieją jeszcze gospodarzyć, bo są jeszcze dawnymi ludźmi i uprawiają ziemię po dawnemu. Dlatego też musimy pamiętać, by nasze dzieci uczyć nie tylko na inżynierów, czy techników, ale przede wszystkim trzeba je nam posyłać do szkół rolniczych, kształcić na mądrze kierujących gospodarką w gromadzie rolników.

Dawniej ludzie żyli tak, że najgorsze dziecko, niezdolne do niczego, zostawiali w domu. Mówili: — „nie chce mu się uczyć, to niech będzie w domu na gospodarce". I to stało się naszą wielką tragedią, bo na wsi zostawali ludzie nie oświeceni, źle gospodarujący na skrawku powierzonej im ziemi.

A przecież wieś musi być tak samo mądra, jak i miasto, bo rolnik nie tylko musi pilnować ziemi, nie tylko ją zaorać. On powinien również wiedzieć, jaki dać jej nawóz, jaki zasiać popłon, gdzie posadzić kartofle, zasiać pszenicę lub owies. Jeżeli dziś oddamy swoje dzieci do szkół rolniczych, będziemy mieli wtedy naprawdę dobrych, wykwalifikowanych gospodarzy.

Ja sama oddałam swego syna do Szkoły Rolniczej i dziś, kiedy przyjedzie do domu, z dumą obserwuję jego rozmowy z ojcem, gospodarską troskę o to, czym ojciec obsiał pole i jaki dał mu nawóz. A gdy pójdzie on na wyższą uczelnię, a potem wróci, dopiero wtedy będzie mógł naprawdę przekształcić naszą gospodarkę we wsi.

Posyłajmy swe dzieci do szkół rolniczych, ale niech one wrócą z powrotem, niech wtedy naprawdę dźwignią nasze rolnictwo.

Może są jeszcze tacy rodzice, którzy mówią: — „Cóż ja będę uczył dziecko na rolnika? Ono przecież może i bez szkoły zaorać i zasiać nasze pole". Jest to nieprawda. Dziś od rolnika mamy prawo wymagać wiedzy rolniczej.

Bronisław Salek
wieś Filasowicze, powiat Łowicz.

WIĘCEJ ŚWIATŁA

ZMIENIŁO się wiele od chwili wyzwolenia w mojej rodzinnej wsi — Woli Batowskiej. Wraz z władzą ludową przyszła elektryczność, radiofonizacja i praca, na którą czekały ręce przeludnionej wsi. Wielu chłopów pracuje w Nowej Hucie. Codziennie rano auta odwożą ludzi do pracy, by wieczorem wrócić z nimi z powrotem.

Tak np. pracuje w Nowej Hucie Janek Renotko wraz z ojcem i siostrą. Siedmioro rodzeństwa jest jeszcze w domu.

— Nie wyżylibyśmy przecież z tego kawałka ziemi — mówi. — A tak to i w Hucie się zarobi, a latem kiedy dni są dłuższe, to i w domu się matce pomoże.

Zresztą Janek myśli przenieść się niedługo do budującej się w pobliżu Woli żwirowni.

Takich jak Janek jest wielu. Inni poszli do szkół, by pomóc tamtym w budowie nowego jutra. Ja też poszedłem, zachowując przed oczami obraz rodzinnej wsi z jej mnóstwem spraw.

Bo zdawać by się mogło, że jest tu wszystko w porządku. Tymczasem wieś ma wiele kłopotów i bolączek, z którymi nie może sobie dać rady. Wieś, w której się urodziłem, jest zaniedbana kulturalnie. Jedyne miejsce rozrywki — to gospoda ludowa, w której mieszczyźni przepijają część zarobków. Tymczasem lokal na świetlicę czeka, aby go wyremontować i urządzić. Wprawdzie według relacji mieszkańców coś się tam w ubiegłym roku mówiło o świetlicy — przeznaczono nawet na to pieniądze. A tymczasem moi rówieśnicy spędzają niedzielne popołudnia na pijatyce. Nikt dotychczas nie chciał czy nie mógł wzbudzić w nich zainteresowania książką, czy gazetą.

Czemu w innych wioskach jest inaczej?

Dwa czynniki grają tu rolę. Po pierwsze — pomoc z zewnątrz.

A czemu w mojej rodzinnej wsi nie może być inaczej? Elektryfikacja i radiofonizacja, którymi szczycą się wioska, nie do wszystkich dotarły. Planami elektryfikacji objęto tylko domy obok dróg. Ale za planami, panowie planiści, trzeba widzieć ludzi. Czyż to ich wina, że nie wszystkie domy mogą stać obok drogi? Takie brakoróbstwo zniechęca ludzi Ale są i ważniejsze sprawy. Czyżby w Woli Batowskiej nie było mądrych ludzi? — Czyżby ci ludzie rozumiejący co państwu dają obowiązkowe dostawy i z dostaw tych się wywiązując, nie wiedzieli co daje świetlica? — Swojego czasu wiele tu narobiono krzyku przy tworzeniu spółdzielni produkcyjnej, założono nawet komitet; nie wyszło. „Brak uświadomienia i roboty partyjnej". Nie wiem tylko czy pomyślano o tym, że książka, że gazeta, pogadanka w świetlicy nie tylko wzbogaca ich życie ale również pomaga ludziom w zrozumieniu wielu spraw.

Wieś przybiera teraz charakter na pół osady robotniczej; decydują o tym i pracujący w Nowej Hucie, i ci którzy znajdują zajęcie w żwirowni. Tym bardziej potrzebna jest świelica - ośrodek życia kulturalnego i ośrodek wychowania młodzieży. Poprzez pracę w świetlicy i poprzez książkę dojdzie się do wychowania politycznego gromady. Sprawą świetlicy i sprawą życia kulturalnego w Woli Batowskiej winny zająć się organizacje społeczne.

Zbigniew Nosal

CZESŁAW SCHABOWSKI

Z pamiętnika kierownika świetlicy

PRZYSZEDŁ NOWY CZŁOWIEK

Rano przyszedł do mnie Janek.

— Towarzyszu! Teraz widzę, co to znaczy gazeta! Nie odejdę od was, dopóki nie złożymy gazetki ściennej! Wiem, że wy chcecie, abyśmy to sami zrobili, ale pierwszy raz zróbmy razem, dobrze?

— Przecież dziś odpust!

— Odpust, odpustem, ale gazetka... Dymek nam nawala na całego! Żąda zwołania zebrania, na którym chce umotywować rezygnację z ZMP! Pojutrze będzie zebranie! Gazetka musi być jakimś ostrzeżeniem... Wygląda na to, że po nieudanym ataku przy pomocy Rysia — kułak chce przy pomocy Dymka coś nowego zrobić... Musimy być czujni!

Janek poprosił mnie o fotografię starych młocarni, przykleił ją na gazetce i dał nad nią taki napis: „Zgadnij co to jest i co należy z tym zrobić? Najlepsze odpowiedzi będą nagrodzone. Bliższe szczegóły u kierownika świetlicy".

— A teraz zdałoby się napisać coś o naszych dziewczętach. Niczego społecznie nie robią, nie dotrzymują zobowiązań, myślą tylko o tańcach. Trzeba też napiętnować Gorczyckiego i Cyrulika, bo się kumają z Dymkiem, a ten namawia ich aby razem z nim we trójkę oddali nam legitymacje. Ta fotografia młocarni — to się nam przydała. Prezydium trzeba skrytykować, bośmy chodzili do nich i prosiłem o pozwolenie rozebrania tych młocarni. Bińczak się uparł, że do tego potrzebne są butle tlenowe i nic nie poradzisz. Może gazetka da radę. Zresztą z tymi butlami to lipa. Gdyby do rozbiórki zgłosił się Tomczyk, lub Goliński, prezydium dałoby zezwolenie. Ale, że zgłasza się ZMP, to zezwolenia dać nie chcą. Jaki właściwie jest stosunek prezydium do ZMP? Gazetka musi to wyjaśnić.

Przestał mówić, pochłonęło go teraz wpisywanie do gazetki czterowiersza:

Na zebraniach hałasują,
na podłogę pestki plują,
nie chcą światła ani wiedzy,
niżej spisani koledzy:

Pod czterowierszem wykaligrafował:

Cyrulik Henryk,
Kurzynoga Zygmunt,
Gorczycki Kaz.
Krawczykówna Krystyna
Golińska Zofia,
Kluszczyński Wład.
Rabęda Władysław,
Tomczyk Wiesława,
Marchewka Teresa.

O godzinie 10-ej pierwszy sierpniowy numer „Gazetki Gminnej" — „pisma poświęconego sprawom gmi-

Rys. K. Niedzielski

ny Siemkowice", jak głosił podtytuł — wisiał na ścianie świetlicy.

Z Janka to chytrus! Polityk!

Poszedł na odpust i zaczął chłopom, dziewczętom, kogo spotkał — rozpowiadać o naszej gazetce — i ludzie szli do świetlicy czytać, co się o nich pisze. Uspokoiło się trochę dopiero koło południa.

*

Wieczorem wpadł do świetlicy Kazik. Pytałem go o żniwa, o życiowe kłopoty. Wiedziałem, że na okres żniw — chłopiec zrobił sobie samowolnie urlop i do kowala nie jeździł. Również i to było mi wiadome, że nawet i teraz, kiedy gorączka żniwna przeszła, Stokowskiemu jakoś się nie spieszyło do majstra. Zapytałem o przyczynę.

— Chłopcy śmieją się ze mnie, że mam głupiego ojca, bo mi każe za darmo robić na kułaka. Nie wrócę już do kowala.

Gdyby nie to, że Janek uprzedził mnie o obecności niektórych chłopców z poza organizacji — obecność Kazika zdziwiłaby mnie bardzo. Udawałem jednak, że nie widzę w tym nic nadzwyczajnego. Usiadłem obok Cyrulika.

— Co słychać z waszym podaniem o plac?

— Niech diabli wezmą! Ale pan nam pomógł! Bińczak ze złości na pana nie załatwia tej sprawy. Ktoś mu powiedział, że to pan napisał mamie podanie i nie załatwia. Plac przepadł.

— Nie wiadomo, co na to powie redakcja, gdy napiszę korespondencję.

— A, to inna sprawa...

— Podobno oddajesz legitymację? Odchodzisz z ZMP?

— A co, nie wolno? — rzekł hardo. — Nie dostaliśmy placu. Pozwalacie rządzić się takim, jak Bińczak? To ja nie chcę takiego ZMP?

— Walkę dopiero zaczęliśmy. Jeszcze nie wiadomo, czyśmy przegrali. Dalszą rozmowę przerwał Kowalczyk:

— Towarzysze! koledzy! Otwieram dzisiejsze zebranie...

Po zreferowaniu kilku ogólnych spraw, od razu kazał Dymkowi się wytłumaczyć.

Dymek wstał ociężale, wyszedł przed zebranych, wyjął legitymację i tak zaczął:

— Składki wszystkie zapłacone... Żebyście nie myśleli co innego... Nie chcę należeć do ZMP, bo każecie mi zakładać spółdzielnię, a nie chcę mieć z tego powodu przykrości...

Po czym zaczął gadać tak bezmyślnie i tak nieskładnie, że się zaraz poplątał, jak łgarz przychwycony na kłamstwie. Skręcał się, plątał w wypowiedziach aż rozlegał się śmiech nawet wśród tych, którzy do niedawna sympatyzowali z postawą zdrajcy. Nie spodziewałem się, że ci prości chłopcy tak łatwo potrafią wyczytać z oczu ludzkich to, co się ustami nie chce wypowiedzieć.

Ale Dymek nie ustąpił tak łatwo. Jak gdyby pragnąc „na złość mnie", jeszcze tak spróbował:

— A co Gorczycki ma z ZMP? A co ma Cyrulik? Jakie dziady z nich były, takie są. Żadnej pomocy nie dajecie.

Po czym położył demonstracyjnie legitymację przed Kowalczykiem i patrząc twardo to na Cyrulika, to na Gorczyckiego — powoli oddalał się od stołu.

Już powstałem, by zabrać głos, gdy wtem odezwał się Janek Kowalczyk:

— Kto tam podniósł rękę? Nie widać stąd!

— Stokowski prosi o głos.

Usiadłem. Jakiś dreszcz wspaniałej rozkoszy na nowo rozkołysał moje serce.

Kazik rzekł spokojnie, śmiało:

— Proszę was bardzo koledzy, abyście mnie przyjęli do ZMP. Jeśli można, mogę natychmiast podpisać deklarację.

Czesław Schabowski

Z lat które nie wrócą

TRAGEDIA MATKI

„Przed sądem okręgowym w Warszawie stanęła wczoraj mieszkanka wsi spod Białegostoku, Stefania Bazyluk, oskarżona o podrzucenie swego 6-letniego syna w poczekalni jednego ze szpitali warszawskich.

Sprawa przedstawia się następująco: syn Bazylukowej zachorował poważnie, wobec czego zwróciła się ona w Białymstoku do lekarza, który polecił umieścić dziecko w szpitalu. W żadnym jednak ze szpitali białostockich nie było miejsca. Zrozpaczona matka wzięła chłopca na ręce i, nie mając pieniędzy na bilet kolejowy, udała się p i e c h o t ą do Warszawy. Iu zgłosiła się do szpitala, gdzie jednakże dziecka również nie przyjęto. Bazylukowa wówczas, która nie miała już siły na powrót piechotą wraz z dzieckiem do Białegostoku, oddaliła się, pozostawiając synka w poczekalni szpitala. Porzucone dziecko odesłano do zakładu wychowawczego, gdzie lekarz stwierdził zapalenie kręgosłupa i polecił przewieźć chłopca do szpitala. Wkrótce potem policja odszukała matkę i oskarżyła ją o podrzucenie dziecka".

(Polska Zbrojna, 27.4.1935 r.).

JEDNO ŁÓŻKO NA 3 OSOBY

„Na jedno łóżko przypada na wsi 2,9 osoby. Przeciętnie więc jedna osoba korzysta z jednej trzeciej części łóżka! Pościel zmieniana jest raz w ciągu paru miesięcy. Nierzadko brak zupełnie mydła z powoau niemożności nabycia choćby minimalnej ilości.

Tylko 35 procent dzieci na wsi można uważać za zdrowe.

Z trzech tysięcy zbadanych kobiet wiejskich 65 procent tj. 1950, było chorych na niedomagania, spowodowane przedwczesnym rozpoczęciem pracy po porodzie i brakiem opieki lekarskiej".

(Ze sprawozdań komisyjnych badań lekarsko-sanitarnych, opubl. w „Ekspressie Porannym", z dnia 25.XI.1935 r.).

MIESZKANIE... W GROBIE

„Wśród mieszkańców osady Skoczyn pod Kałuszynem rozeszły się pogłoski, że na cmentarzu parafialnym, przy grobie zamożnej rodziny Górskich, coś straszy. Majaczą się jakieś cienie, w nocy widać nawet płomień. Ostatnio wykryto tajemnicę. W murowanym grobie Górskich zamieszkała czteroosobowa rodzina niejakiego Jana Wielgusa, wiejskiego żebraka cmentarnego. W grobie zainstalowano nawet piecyk. Były poza tym sienniki, pościel, garnki oraz stara harmonia. Wielgus zeznał, że obecne „zarobki" nie pozwalają na inne mieszkanie! Zaś obecność trumien i sąsiedztwo zmarłych wcale im, obytym z cmentarzem, nie przeszkadza".

(„Epoka", z dnia 5 lipca 1936 r.).

LUDZKIE KRETOWISKA

„Pod Radomskiem, na terenie tzw. Miłaczek, grupa bezrobotnych wzniosła kilka domków na gruntach należących do związku właścicieli nieruchomości.

Właściciele zaprotestowali. Uzyskali w sądzie eksmisję, podczas której doszło do rozruchów.

Bieg rzeczy — zwykły i powszedni. Prawy właściciel terenu wystąpił przeciw bezprawiu bezrobotnego. W tej sprawie jakże ponurej, zaciekawiają jednak pewne szczegóły.

Na terenach Miłaczek stoi już kilkadziesiąt nielegalnych domków, zbudowanych przez bezrobotnych. Przy czym, w ciągu jednej z ubiegłych nocy, wzniesiono tam s i e d e m nowych domków.

Cóż to za domki, których staje siedem w ciągu jednej nocy?

Nazwa domku wydaje się tu urągowiskiem! To jakieś lepianki, schrony prymitywne z najprostszego materiału sporządzone: gliny, drzewa i papieru. To jaskiniowe mieszkania, kretowiska — dla ludzi!

Co więcej — tych krecich domków, których siedem wyrosło w ciągu jednej nocy, broni bezrobotny do upadłego. Dlatego eksmisja na terenach Miłaczek nie udała się".

(„Ekspress Poranny" z dnia 16 lipca 1935 r.).

STRASZLIWA DECYZJA

„Przed sądem w Zamościu stanął bezrobotny Jan Kaproń, oskarżony o świadome spowodowanie katastrofy kolejowej przez rozluźnienie szyn. Skutki katastrofy były, na szczęście, minimalne. Szyny bowiem zostały rozluźnione przed przejazdem pociągu towarowego.

Jan Kaproń w śledztwie przyznał się do winy. Złożył zdumiewające oświadczenie. Od dłuższego czasu pozbawiony pracy, znajdował się wraz z rodziną w skrajnej nędzy. Wszelkie próby zarobkowania i zabiegi o pomoc zawiodły.

Zdobył się w końcu na tragiczną decyzję. Postanowił stać się sprawcą katastrofy kolejowej, by na miejscu wypadku, przy oczyszczaniu toru, znaleźć choćby chwilowe zatrudnienie; nie chciał zaś spowodować ofiar w ludziach. Dlatego postanowił wykoleić pociąg towarowy".

(„Ekspress Poranny", z 13.I.1937 r.).

Wybrał Archiwista

*

Czy podane wyżej fakty nie przypominają Wam, drodzy czytelnicy, podobnych wydarzeń, których byliście świadkami, lub o których słyszeliście za rządów burżuazji i obszarnictwa? Jeżeli tak, to opiszcie je w liście do nas, wskazując w miarę możności, jakie są losy postaci biorących w nich udział w latach powojennych, w ludowym państwie.

Czekamy na Wasze wypowiedzi, z których ciekawsze wydrukujemy w naszym piśmie.

(Red)

Rozmowy z korespondentami

LIST „PRODUKCYJNY"

Oto fragmenty z listu członka spółdzielni produkcyjnej w Przedbojowicach (pow. inowrocławski).

— „W ciągu dwóch lat wspólnego gospodarowania znacznie powiększył się nasz majątek. Gospodarkę rozpoczęliśmy na 131 ha, obecnie mamy 160 ha. Zwiększyła się też ilość krów i trzody chlewnej. Nasza spółdzielnia pierwsza w powiecie wywiązała się z obowiązków wobec państwa...

Młodzież pracowała z zapałem, biorąc udział we wszystkich akcjach gospodarczych...

Trzyosobowa rodzina Dalków zarobiła 17.640 zł w gotówce oraz 11.500 kg zboża...

Podsumowanie rocznych osiągnięć wykazało, że w Przedbojowicach nie zastosowaliśmy nowych metod agrotechnicznych, co wpłynęło na obniżenie wydajności. W tym roku zarówno w racjonalnym siewie, jak nawożeniu zwiększymy wydajność naszych pól."

Jest to rodzaj korespondencji *produkcyjnej*. I trzeba powiedzieć, że ten rodzaj wciąż jeszcze przeważa w listach spółdzielców.

Jak zazwyczaj pisze się taki „produkcyjny" list? Wzorem dla niego wydają się być statut i księga buchalteryjna spółdzielni. A punkty i działy w statucie i księdze buchalteryjnej są takie same w każdej spółdzielni.

Chwytając się więc tych punktów korespondent zaniedbuje i pomija to, co stanowi o *specyfice* spółdzielni. Konkretność wraca dopiero dzięki liczbom i dzięki temu, że z pamięci przypomniane „punkty" nie obejmą wszystkich działów i spraw. Z „punktów" wybiera korespondent zazwyczaj te, które bardziej go obchodzą.

Ale wzór zostawia ślady. W podanych fragmentach widać „punktowość", to znaczy powierzchowne omówienie każdego zagadnienia. Zaledwie tylko zarejestrował, już dalej i dalej.

Rzecz w tym, że punktów tych mogłoby być o wiele mniej, bardziej natomiast należałoby rozwinąć wybrane zagadnienie.

W cytowanym liście wyraźnie rzuca się w oczy sprawa „nowych metod agrotechnicznych". Przy podsumowaniu rocznej pracy spółdzielcy na pewno je przedyskutowali. Miał więc o czym napisać korespondent.

Jakie stosowała spółdzielnia metody w zbożowych, okopowych i paszowych? Na jakich przestrzeniach i w jakich rodzajach upraw? Jakie były wyniki poszczególne i w ogólnym bilansie? Jakie to — szczegółowo — nowe metody agrotechniczne wysunięto w planie na 54 rok? Na ile zwiększyć się mogą plony w poszczególnych uprawach przy nowych metodach? Jak są wyrobieni brygadierzy i członkowie brygad i ogniw? Czy potrafią zastosować nowe metody? Czy i jak się przygotowują?

Co oznaczają w Przedbojowicach: „racjonalny siew i dobre nawożenie"? Przecież zeszyt można by zapisać, pokazując rodzaje gleb, wielkość pól, topografię terenu, park maszynowy, jego moc i gotowość, przygotowanie nawozów (rodzaje), ziemi i ziarna do siewu w poszczególnych uprawach, stopień gotowości brygad polowych, odpowiedzialność ludzi, ich zapał, cechy charakteru pomagające i przeszkadzające w przeprowadzeniu „racjonalnego siewu" itd. itd.

A ta młodzież „pracująca z zapałem i biorąca udział we wszystkich akcjach gospodarczych"? Jaką ona odegrała rolę w okresie niestosowania nowych metod? Czego się teraz można po niej spodziewać? Czy będzie podciągana? Czy też wysunie się na czoło, jeśli np. czyta rolnicze książki, dyskutuje w świetlicy i w kole zetempowskim?

Jaki morał na koniec? Nie rejestrować, nie punktować lecz brać pod pióro szczegółowo jedno zagadnienie, ważne dla autora, ważne dla spółdzielni.

Z. N.

KULTURA W RUBRYKACH

Postawmy pytanie: jaki rodzaj listów przeważa wśród korespondencji, dotyczącej pracy kulturalnej na wsi? Przeważają niestety, listy *inwentaryzacyjne*, jak gdyby pisał je magazynier z zawodu.

Sięgnijmy po przykład. Oto korespondencja z Krosnowic (pow. Kłodzko) „Przez okres roku zarząd świetlicy urządził kilkanaście odczytów, prasówek i pogadanek, urządzano też wieczory literackie, organizowano potańcówki, z których dochód (przeszło 6 000 zł) obrócono na remont i urządzenie świetlicy. Świetlica posiada stroje do tańców ludowych. Tętni życie w zespole chóralnym, który liczy około 30 członków, a zespół taneczny 12 osób. Świetlica pięknie udekorowana: hasła, gazetki ścienne fotomontaże, gazety wycinkowe i inne dekoracje papiero-plastyczne".

Pierwsze wrażenie przy czytaniu takiego listu nie jest ujemne. Ujmuje nas rzeczowość i bogactwo faktów... ale spróbujmy tylko trochę uważniej przyjrzeć się tej rzeczowości i tym faktom. Cóż się okaże? Wyliczono nam *zakresy prac* świetlicy. Oczywiście, w jednej świetlicy jest tych zakresów mniej, w drugiej więcej. Ilość i rodzaje zakresów konkretyzują w pewnym stopniu opisywaną świetlicę. Ale jest to stopień konkretyzacji nie wystarczający. A na tym właśnie zazwyczaj poprzestają korespondenci, sięgając po gotowy druczek inwentaryzacyjny, aby jak biurokrata wpisać w rubryczki: *jest...* — lub — *nie ma*. Z góry wszak wiadomo, w jakich to zakresach prac obracać się może życie świetlicowe: odczyty, pogadanki, prasówki, chór, zespół taneczny, teatralny itd. Czy chłop pisze, że w jego wsi są pola i łąki, że na polach rosną: żyto, pszenica, jęczmień, buraki, kartofle, a w oborach stoją krowy, świnie, owce? Tak nie pisze, bo rozumie, że wszyscy o tym dobrze wiedzą.

Korespondent z Krosnowic ocenił swoją świetlicę jako „wzór dla innych świetlic". — Być może — gotowiśmy przytaknąć, przyjmując oświadczenie na słowo honoru. Ale... czytamy dalej: „Świetlica cierpi na brak współpracy z miejscowymi czynnikami polityczno-społecznymi. Zarząd ZMP nie pomaga, przewodnicząca koła aż lśni złym przykładem. Koło Gospodyń istnieje na papierze. Komitet Gminny Partii nie analizuje pracy świetlicy, nie daje nastawień, a już najgorzej przedstawia się brak opieki ze strony GRN".

Z zestawienia obu grup (organizacji społecznych i sekcji świetlicy) wyłania się sprzeczność, której korespondent nie tylko nie wyjaśnił ale zagmatwał.

Bo spytajmy: — któż brał udział w organizowaniu i wygłaszaniu pogadanek, odczytów, wieczorów literackich, prasówek, redagowaniu gazetek? Któż należy do chóru i zespołu tanecznego?

Czy nie młodzież, kobiety i aktywiści? Czy ten wielki zespół świetlicowy nie obejmuje 60—70 osób? Czyż, jak podaje korespondent, nie bywa przeciętnie w świetlicy 30—40 osób każdego dnia?

Kto komu mógł tu zatem pomóc? Czy nie świetlica — umocnić pracę ZMP, czy nie ona — postawić na nogi Koło Gospodyń? Jakże ocenić „wspaniałą pracę" świetlicy, „wzór dla innych", jeśli nie będziemy pytać o jej wpływ na aktywistów i całą gromadę? A ten wpływ wg relacji korespondenta okazał się bardzo słaby, prawie żaden.

Czyż zatem korespondent nie powinien był dokonać analizy pracy świetlicy? Nie postawić sobie pytań...

1) Na jakie tematy były odczyty i pogadanki, jaka była ich ilość, jaka treść i wartość?
2) Jakim autorom i pisarzom poświęcono wieczory literackie? Ile ich było?
3) Jakie to pieśni śpiewa chór? Jakie tańce ma w repertuarze zespół?
4) Jak redagowana jest gazetka? W jakich terminach? W jakim stopniu brała udział w życiu gromady? W czym pomogła, co zmieniła?
5) Kto wygłaszał odczyty, pogadanki i prasówki? Kto brał udział w dyskusjach? Kto należy do chóru i zespołu tanecznego?

Stawiając sobie takie pytania, dałby korespondent szczegółową i trafną charakterystykę pracy świetlicy. Odsłoniłaby się treść tej pracy. Zobaczylibyśmy, jakie sprawy (w pogadankach, odczytach i wieczorach literackich) interesowały organizatorów świetlicy i w jakim stosunku pozostawały one do potrzeb i zainteresowań gromady. Zobaczylibysmy w tych pogadankach i odczytach poglądy autorów, ich stanowiska ideologiczne, propozycje praktyczne tak co do celów i zadań, jak metod i środków działania.

Wtedy by się pokazało, dlaczego to mimo szumu i ruchu świetlicy w kole ZMP nie jest dobrze, dlaczego nie działa Koło Gospodyń. Wtedy byłoby co przedstawić Gminnemu Komitetowi partyjnemu do oceny politycznej. Jego nastawienia wyprostowałyby błędy, wysunęły nowe zadania. Wszak zarząd świetlicy powinien sobie zdawać sprawę jaką to politykę kulturalną uprawiał w ciągu roku Na jakich oparł ją poglądach, jakie realizował cele. W Komitecie Gminnym byłoby nad czym podyskutować. I do Gminnej Rady wówczas świetlica mogłaby wystąpić z bilansem nie tylko zakresów prac i ilością występów ale z bilansem *ich treści, wpływów i skutków w gromadzie*. Przekonać Gminną Radę do określonych zakresów pomocy, bo określony byłby rachunek przydatności świetlicy i przekonywająca lista jej potrzeb we wspólnym interesie obu instytucji.

Do takiego pogłębienia korespondencji zachęcamy działaczy kulturalnych.

W. P.

OD WCZORAJ DO DZIŚ

Stanisława Pękala — piętnastoletnia uczennica ze wsi rzeszowskiej Stary Borek dołączyła do swoich rysunków króciutki, wzruszający list: „Podajcie mi pomocną dłoń, nauczcie DOBRZE malować".

A oto jej prace: — dawna wieś — krzywe domki nad bagnistym jeziorem i nowa wieś spółdzielcza — kryte dachówką domki, słupy z przewodami po których płynie upragnione światło.

Trzeci obrazek: wspólne radosne żniwa.

Apel Stanisławy Pękali przekazujemy Dyrekcji Liceum Plastycznego w Jarosławiu. W poszukiwaniu wiejskich talentów zawędrujcie do Starego Borku, gdzie marzy o nauce malarstwa Stanisława Pękala.

KRONIKA KULTURALNA

Powiatowe zespoły pieśni i tańca oraz orkiestry SP w woj rzeszowskim rozpoczęły usilne przygotowania do zbliżającego się 10 lecia Polski Ludowej i festiwalu zespołów artystycznych.

Z interesującym i bardzo ciekawym repertuarem pieśni i tańców regionalnych oraz utworów muzycznych, opartych na bogatych tradycjach walk chłopów Ziemi Rzeszowskiej z magnacko-obszarniczym uciskiem wystąpi na festiwalu zespół artystyczny wraz z orkiestrą SP przy komendzie powiatowej w Gorlicach.

Osiągnięcia socjalistycznego budownictwa w Polsce Ludowej zobrazuje w swoim szerokim i różnorodnym programie zorganizowany niedawno powiatowy zespół pieśni i tańca w Przemyślu.

90-osobowy zespół i orkiestra z Trzciany (pow. rzeszowski) przygotowuje na festiwal wiele pieśni masowych i regionalnych, m. in. „O Nowej Hucie", „Brygadę SP", „Korale", utwór muzyczny „Marsz śmiałych" i „Marsz pod sztandarami ZMP".

Zespoły te wystąpią w czasie festiwalu ze swoim programem w wielu spółdzielniach produkcyjnych, PGR-ach i indywidualnych gromadach woj. rzeszowskiego.

*

W podejmowaniu zobowiązań przed II Zjazdem Partii oprócz aktywu kulturalnego wsi, nie pozostaje w tyle aktyw sportowy.

Ostatnio bardzo cenne zobowiązania podjęli członkowie Ludowego Zespołu Sportowego w Złotnikach Kujawskich (p. Inowrocław) wzywając zarazem do współzawodnictwa w podejmowaniu przedzjazdowych zobowiązań wszystkie LZS-y na terenie całego kraju

Członkowie LZS w Złotnikach Kujawskich zobowiązują się m. in. 1) ukończyć budowę boiska sportowego w Złotnikach Kujawskich i oddać go do użytku z dniem 1 maja 1954 r., 2) zdobyć 10 odznak SPO i 30 odznak BSPO, 3) zebrać 100 kg makulatury, 1000 kg żelaza, 50 kg szmat, 2500 butelek itp., 4) zwerbować 28 nowych członków LZS, w tym 16 koleżanek, 5) dać pięć występów artystycznych w sąsiednich spółdzielniach produkcyjnych i PGR-ach oraz zredagować 6 gazetek ściennych, 6) uporządkować grób bohaterów radzieckich w Złotnikach Kujawskich.

LZS-owcy, starajcie się o to, by Wasze koło poszło za pięknym przykładem waszych kolegów z LZS w Złotnikach Kujawskich.

*

W województwie bydgoskim pracują już 74 wiejskie kina stałe. Kina te rozmieszczone są jednak nierównomiernie. Tak np. w powiecie sępolińskim i włocławskim nie ma ani jednego wiejskiego kina stałego. Okręgowy Zarząd Kin w Bydgoszczy planuje uruchomić w roku bieżącym 15 nowych wiejskich kin stałych. Powinien więc zwrócić szczególną uwagę na te właśnie pokrzywdzone w rozbudowie kin powiaty. Sytuację tę stwarzają warunki terenowe. Często zdarza się, że tam, gdzie powinno być kino, brakuje lokalu lub gmina nie jest zelektryfikowana Najczęściej niedostateczną jednak troskę o przygotowanie lokalu, o opiekę nad kinami wykazują Gminne Rady Narodowe. One powinny okazywać pomoc OZK jeśli chodzi o sprawy organizacji kin stałych i opiekę nad nimi. Większość GRN-ów zdaje sobie sprawę z ciążących na nich zadań. Przodują pod tym względem prezydia GRN w Przechowie, Unisławiu, Skępem, Osięcinach i in. Przychodzą one zawsze z pomocą przy okresowych remontach kin, interesują się pracą zespołu kina, jego bolączkami, trudnościami i wydatnie pomagają w ich przezwyciężaniu. Niektóre prezydia GRN nie przejawiają jednak żadnego zainteresowania pracą kina. Do nich należą prezydia GRN w Ostrowie, Mroczach, w Grucie i in.

Mamy nadzieję, że i te prezydia pójdą za przykładem wzorowo pomagających wiejskim kinom stałym.

*

Powiatowy Klub Korespondentów w Sulechowie, chociaż istnieje niedawno, potrafił ująć rozwijający się żywiołowo na terenie powiatu ruch korespondentów w zorganizowane formy i przejść do planowej działalności. Świadczy o tym ilość i jakość nadsyłanych do redakcji korespondencji terenowych.

Klub skupia 21 korespondentów z całego powiatu. Pracuje on pod opieką i przy wydatnej pomocy KP PZPR w Sulechowie, za przykładem którego poszły podstawowe organizacje partyjne na wsi w zakładach pracy. Otaczają one coraz większą opieką i pomagają w pracy korespondentom.

Korespondenci są systematycznie szkoleni i instruowani na naradach, które odbywają się raz na miesiąc. Na naradach tych omawiane są poszczególne korespondencje, analizuje się ich słuszność i skuteczność. Poszczególni korespondenci mówią na nich o bolączkach i osiągnięciach swych gromad i zakładów pracy oraz omawiają kto i jak poruszy te sprawy na łamach gazety. W celu nawiązania ściślejszej łączności z terenem korespondenci nawiązują współpracę ze spółdzielniami produkcyjnymi i chłopami indywidualnymi na terenie powiatu. Ostatnio członkowie klubu zobowiązali się dopomóc w zorganizowaniu spółdzielni produkcyjnej w gromadzie Okumin.

Błędem dotychczasowej pracy klubu było to, że nie nawiązał jeszcze współpracy z miejscowym radiowęzłem, który nie mając zbyt wielu korespondentów, ma poważne trudności w pracy.

Współpraca klubu korespondentów z radiowęzłem usprawniłaby działalność komitetu redakcyjnego radiowęzła i pomogłaby w zlikwidowaniu wielu niedociągnięć.

*

Wiejskie zespoły artystyczne w powiecie gostynińskim przygotowują się do Eliminacji Artystycznych Zespołów Wiejskich, które odbędą się w połowie marca br. w Gostyninie i Gąbinie. Dotychczas zgłosiło się do powiatowych eliminacji 14 zespołów gromadzkich, w tym 6 dramatycznych, 3 śpiewacze, 4 taneczne oraz jeden muzyczny. Świetlica spółdzielni produkcyjnej w Osinach zgłosiła trzy zespoły: taneczny, śpiewaczy i dramatyczny. W skład ich wchodzą trzydzieści dwie osoby. Do eliminacji przygotowują się również 24-osobowy zespół teatralny z PGR Łuszyn oraz świetlice gminne w Słubicach, Białotarsku, Sierakówku i inne. Specjalne nadzieje rokuje zespół muzyczny spółdzielni pracy Przemysłu Ludowego i Artystycznego „Lepsze Jutro" w Sannikach. Przygotowania do eliminacji powiatowych wzbudziły duże zainteresowanie wśród chłopów i w poważnym stopniu ożywiły pracę zespołów artystycznych w całym powiecie.

Przykład wiejskich zespołów artystycznych w powiecie gostynińskim powinien stać się mobilizującym bodźcem dla zespołów artystycznych innych powiatów, które zbyt opieszale przygotowują się do eliminacji. Powinien zadbać o to nasz aktyw świetlicowy.

*

Dotychczasowe formy szkolenia rolniczego wzbogacily się o Korespondencyjne Kursy Rolnicze. Przeznaczone są one dla przewodniczących spółdzielni produkcyjnych, brygadzistów hodowlanych i polowych. Nauka trwa rok i obejmuje wiadomości z zakresu agro- i zootechniki oraz organizacji pracy w spółdzielni .

W roku bieżącym wzrośnie także do 17-tu liczba istniejących ośrodków szkolenia kadr spółdzielczości produkcyjnej. Plan przewiduje przeszkolenie 1500 przewodniczących spółdzielni oraz 6000 brygadzistów hodowlanych i polowych. Ponadto zostanie przeszkolonych około 13.000 ludzi, w tym ponad 9.000 traktorzystów.

SEW.

Gazetka gminna

Wszędzie blisko i daleko

Zachciało się gromadzie Kurów, gm. Rzgów (powiat Konin) ulepszeń, ma teraz za swoje. Sprawiedliwie rzekłszy rzecz się stąd wzięła, że nikt nie chciał w Kurowie sołtysować. Wieś była rozzucona, pola przecięte w drobną kratkę, jakbyś chciał wszystkich chłopów na zebranie wołać, murowany dzień latania.

Uradzili więc kurowiacy rozbić wieś na dwie mniejsze, poręczniejsze, żeby sobie ani ludzie, ani sołtysi nóg nie uchodzili. To ulepszenie zainicjowała biedota ze świeżo upieczonego Kurowa II, a Kurów I miał prowadzić komasację. Wybrano tam właśnie ob. Jana Bartczaka na sołtysa. Chłop miał wszędzie blisko, a już do kułaków najbliżej. Z tej bliskości wyszło wszystko co będzie dalej. Najwpierw więc komisja klasyfikacyjna. Komisja zbliżyła się szybko do klasyfikatorów gminnych, co miało taki rezultat, że Kurów I, choć sadzi buraki i sieje pszenicę, otrzymał gleby V i VI klasy. Oczywista rzecz, w Kurowie II zamieniono piasek i wrzosowiska na II i III klasę.

Klasyfikatorom natomiast blisko było do GRN, co w praktyce oznaczało, że kurowiakom Nr 2 polecono listy klasyfikacyjne natychmiast podpisać.

Nie podpisali, upoważnili natomiast swojego sołtysa, by szukał sprawiedliwości. Ale gdzie kułakowi blisko, tam małorolnemu akurat daleko. Klasyfikatorzy pobrali pieniądze od 40 gospodarzy, ale do klasyfikacji daleko. GRN przyjęła wprawdzie zażalenie Kurowa II, ale załatwienie — wciąż daleka sprawa.

Krawczyński, Korczewska, Czech, Woźniak, Kubicki, Piętka, Gęsikiewicz, Dudek, Kopaczewski, Nowak i 30 innych — wierzą, że będą mieli najbliżej do Powiatowej Rady Narodowej w Koninie.

Ano zobaczymy.

MARIAN STACHOWIAK

(Na podstawie listu zbiorowego chłopów z Kurowa II).

Kwapiszewski, Krówka i Biegonek

To, czego dokonał na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy „mocny" średniak Kwapiszewski z Macochowa, zakrawa na czysty cud.

Po pierwsze — wykonał szybciej niż ktokolwiek plan dostaw mleka, chociaż ani jednego litra do mleczarni nie dowiózł.

Po drugie — wykonał z nadwyżką plan dostaw żywca, choć na punkcie skupu do dzisiejszego dnia nie widziano ani jednej jego świnki, cielaka czy krowy.

Po trzecie — uregulował nadspodziewanie szybko podatek, a równocześnie nie zapłacił państwu ani grosza.

Po czwarte — oddał na szarwark najwięcej dniówek konnych, mimo iż nikt nie widział przy pracy społecznej ani wozu, ani koni, ani samego Kwapiszewskiego.

Po piąte? Dajmy pokój, lepiej będzie te cuda wyjaśnić, bo jeszcze w nie uwierzycie. Jak wszędzie, tak i tutaj: z przodu cud, z tyłu kilku spryciarzy. Tym razem odkryliśmy obok Kwapiszewskiego jeszcze dwóch — ob. Krówkę, prezesa GS-u i ob. Biegonka, miejscowego sołtysa. Oto dosłownie ich zdania w sprawie „mocnego" średniaka:

BIEGONEK: Co? Kwapiszewski nie odstawia żywca? A kto mnie wstawił dwa tęgie świniaki? Pies? Sprzedał mnie, to jakby państwu sprzedał, bom przecie sołtys. Krówkę mleczną też!

KRÓWKA: Jak można szkalować obywatela! Nie dał państwu ani grosza? A kto za kilkadziesiąt litrów monopolki z czerwoną etykietką płacił? Sam za każdym razem widziałem!

BIEGONEK i KRÓWKA: Podwód nie daje? A kto nas na wesela i chrzciny cały rok woził?

Argumenty te — rzecz przykra — wystarczają GRN w Dziwonicach. Jeżeli wystarczą i w powiecie, trzeba będzie chyba wierzyć w cuda.

ANDRZEJ KUBOCZ

Troska o hodowlę

Kłopoty małorolnego ob. Aleksandra Melera z gromady Skurzyn gm. Radomicko, pow. Krosno Odrzańskie, naprowadziły urzędników GS-u w Maszach na genialną myśl, o czym właśnie napiszemy.

Meler ma wprawdzie tylko 1 ha ziemi, ale zapobiegliwy z niego i patriotyczny chłop. Zakontraktował aż 8 tuczników na październik. Ale ich nie odstawił, gdyż mu GS w Maszach karmy sztucznej nie sprzedała, choć powinna. Nie miały wagi.

— Co robić? — zatroszczył się prezes. — 8 świnek obniży plan na całego!

— Napiszemy w sprawozdaniu, że Melera wytypowaliśmy na przodownika, niech świniaki utuczy, na wystawę poślemy — doradził referent planowania. Tak też się stało.

Za miesiąc zjawił się Meler przed GS-em na dwóch wynajętych wozach. Świniaki były dorodne, że palce lizać. Ale mu nie przyjęli.

— Weźcie, Meler, jeszcze karmy z magazynu, podtuczcie świniaki, na wystawę poślemy z waszą fotografią.

Za miesiąc zjawił się Meler na trzech wynajętych wozach. Świnki — jak dojrzałe dynie. Nie przyjęli.

—Jeszcze trochę, Aleksandrze, a będą was w filmie pokazywać.

Za miesiąc zjawił się Meler na czterech wynajętych wozach. Świnki wylewały się po prostu z wozów.

—Jeszcze miesiączek i będą o tobie w szkołach uczyć.

A w lutym stała się rzecz straszna. 8 Melerowych tuczników pękło z piekielnym hukiem, który postawił cały Skurzyn na nogi. Meler pisał akurat list do redakcji, a w nim: „Kiedy wreszcie sprzedam świnki państwu, to dostanę paszy i będę mógł myśleć o dalszej hodowli, a jeśli nie, to nie mam o czym myśleć na 1 ha".

W tym samym czasie referent planowania donosił swoim powiatowym władzom, że przygotowuje hodowlaną sensację. I przygotował.

JERZY SMUTNY

(Na podstawie listu ob. Aleksandra Melera).

HORACY SAFRIN

Fraszki

O rozdziale kredytów

(Fraszka prawie że autentyczna)

Dla wioszczyny, deskami od świata zabitej,
przyszły na zakup bydła pokaźne kredyty.
Długo przewodniczący w papierkach się grzebał:
jak zrobić, by pieniądze dotarły, gdzie trzeba?
Przydzieliwszy je sobie tudzież członkom Rady,
orzekł sentencjonalnie: „My — głowa gromady.
Gdy głowa ta pomyśli (najlepiej przy „wódzi"!),
może znajdzie się grosik jakowyś dla ludzi..."

W ŚWIETLICY WIEJSKIEJ

(wg „Krokodyla")

Spojrzawszy na świetlicę, wnet wniosek wysnuwam:
„Bez wątpienia, straszliwie nudno bywa u was!"
Na to mi ob. kierownik rzeczowo przerywa:
— Jakże może być nudno, gdy tu nikt nie bywa?

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel. 8-00-81
Telefony: Red. Nacz. 863-86, Redakcji 870-61, wewnętrzny 13, 42, 70.
Adres redakcji: Warszawa, pl Starynkiewicza nr 7.
Warunki prenumeraty:
mies. — 4,60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
RSW „PRASA" Warszawa, ul Marszałkowska 3/5 5-B-11147